

**ANDRZEJ MARIAN
ŚWIĄTKOWSKI**

AUTOBIOGRAFIA
NIEKONTROWERSYJNA



Fot. Konrad Oświecimski

Prof. dr hab. Andrzej Marian Świątkowski

**ANDRZEJ MARIAN
ŚWIĄTKOWSKI**



**AUTOBIOGRAFIA
NIEKONTROWERSYJNA**

WYDAWNICTWO NAUKOWE
AKADEMII IGNATIANUM W KRAKOWIE

KRAKÓW 2020

© Copyright by Andrzej Marian Świątkowski, 2020

Redaktor prowadzący
Roman Małecki

Projekt okładki
Studio Photo Design – Lesław Sławiński

Typografia i łamanie
Dariusz Piskulak

W książce wykorzystano cykl obrazów:
Trzy razy 17 osobowości, akryl/tektura, 56×40 cm, 76×54 cm, 150×112 cm,
namalowanych w latach 1997, 1998, 1999
Autor: Marek Szymański

Zdjęcia w Aneksie pochodzą z archiwum autora

ISBN 978-83-7614-463-4

Wydawnictwo Naukowe Akademii Ignatianum w Krakowie
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 39 99 620
wydawnictwo@ignatianum.edu.pl
<http://wydawnictwo.ignatianum.edu.pl>

Dystrybucja
Wydawnictwo WAM

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIEGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260
www.wydawnictwowam.pl

SPIS TREŚCI

Przedmowa: O drodze człowieka „słusznie dumnego”	XI
Wstęp	5
O przemijaniu czasu	5
O aktywności zawodowej	6
O alternatywnych tematach twórczości naukowej	8
O pracy i prawnikach o pracy piszących	12
O metodach pracy	14
O pracy i pracowitym życiu prawnika	15
O tym, czym według mnie jest autobiografia	16
Rozdział I: Rodzice i najbliższa rodzina	17
Pochodzenie społeczne	17
Miejsce urodzenia i zamieszkania	19
Rodzina	20
Rozdział II: Pierwsze miesiące życia w okupowanej Warszawie	27
Ludność cywilna w Powstaniu Warszawskim	27
Warunki życia w okupowanej Warszawie	29
Śladami wojennych losów ojca	31
Rozdział III: Dzieciństwo na polskim „dzikim Zachodzie”	37
Polscy osadnicy	37
Uprzywilejowane warunki życia	39
Dłuższy pobyt w Lubaniu i szkoła podstawowa	40
Sport i rozrywka	46
Dom rodzinny	47
Rozdział IV: Wczesna młodość na „Ziemiach Odzyskanych”	51
Kim zostać w życiu? Szanse i możliwości mieszkańca „głębokiej” prowincji	51
Nauka w liceum	54
Poczucie przynależności	55
W przeddzień studiów	59

Rozdział V: Studia w Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie i okres dojrzałej młodości (1961–1977)	63
Prawnicze studia zaoczne	63
Dzienne studia prawnicze	67
Co zawdzięczam wojsku, w którym nie służyłem?	73
Nieśmiałe marzenia o pracy naukowej	78
Osuchowski, Krzyżanowski i inni	83
Egzamin z logiki i uciążliwości mieszkaniowe	85
Inni wykładowcy i pozostałe egzaminy	90
Ruch studencki a nauka własna	92
Ciąg dalszy krakowskiego życia i studiów prawniczych	96
Doświadczenia zebrane na wyższych latach studiów	99
Drugi rok studiów. W sferze wpływów katedr karnistycznych	99
Ustrój państwa, konstytucje	109
Prawo prywatne (cywilne) i publiczne (administracyjne i międzynarodowe)	III
Wakacyjna praca w charakterze ratownika	120
Kryzys na czwartym roku studiów	122
Specyfika prawa pracy i ubezpieczeń społecznych	131
Ostatni rok studiów prawniczych	134
Egzamin magisterski i wolność! Czy na pewno?	140
Koniec studiów	140
Wakacje i przygody wakacyjne	141
Aplikacja sądowa	154
Szkolenie ideologiczne	165
Kontynuacja studiów socjologicznych	168
Studia doktoranckie w Instytucie Nauk Prawnych PAN w Warszawie	172
Zmiana pracodawcy, lecz bez zmiany statusu doktoranta	178
Własne, chociaż spółdzielcze, mieszkanie w Nowej Hucie	184
Krajowe środowisko prawa pracy	186
Moje francuskie wakacje	193
Nasze „wielkie” polskie wesele	195
Perypetie z pracą doktorską	199
Stypendium Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku	207
Propozycja wyjazdu do Stanów Zjednoczonych	207
Pierwsze kroki w nauce angielskiego	211
Podróż do USA	213
Pierwszy kontakt z przedstawicielem Fundacji Kościuszkowskiej	214
International House	215
Działalność w Światowej Radzie Alumnów	218

Uniwersytet Columbia w Nowym Jorku	220
Dodatkowa praca biurowa na rzecz Fundacji Kościuszkowskiej	224
Życie codzienne w Nowym Jorku	227
Koledzy stypendyści	238
Podróż Greyhoundem po USA	242
Powrót do Europy	255
Przywitanie w Polsce	258
Habilitacja	261
Podyplomowe studia magisterskie w Filadelfii	265
Praktyka adwokacka w USA	287
Wiadomości z Polski	296
Dywagacje o metodach pracy	298
Amerykańskie miscellanea	302
Pracowite wakacje w Filadelfii	309
Przeprowadzka do Waszyngtonu. Praca w Krajowym Instytucie Administracji Publicznej	311
Wykłady gościnne, nieoczekiwane honory. Monografie	319
 Rozdział VI: Kariera naukowa w Polsce (1978–2014)	 321
Trudna adaptacja do nowej rzeczywistości	321
Moja pozycja naukowa	323
Starania o profesurę	324
Moje zwycięskie potyczki	326
Przeciwko zarzutowi plagiatu	326
O doktorat	327
O decyzje dotyczące katedry	328
Priorytety	330
W kierunku komercjalizacji	330
Umiejętność godzenia różnych interesów	332
Irracjonalny sprzeciw	333
Egzaminy magisterskie	336
Alternatywne wykłady	337
Rola dziekana	341
Charakterystyka środowiska	343
Stosunki między kolegami profesorami	344
Ostatni etap – starania o profesurę zwyczajną	347
Pola działalności politycznej	351
Uczelnia	351
Sąd	352
Polityka a postępowanie o „uzwycajnienie”	353

Ogólny bilans	354
Złoty okres działalności twórczej	355
Książki	355
Nagrody i wyróżnienia	360
Nasz rodzinny, żony i mój, związek z Uniwersytetem Jagiellońskim	361
 Rozdział VII: Warunki i metody pracy dydaktyczno-naukowej	
oraz stosunki w pracy	365
Warunki umów o pracę w uczelni	365
Warunki wykonywania pracy	369
Rodzaje prac	377
Praca dydaktyczna	377
Praca naukowa	385
Stosunki w pracy i życie towarzyskie w katedrze	390
 Rozdział VIII: Doktoraty, habilitacje i profesury	395
Wprowadzenie	395
Doktoraty	395
Awanse naukowe w katedrze	408
Inne przewody doktorskie	409
Niezrealizowane zamierzenia	413
Siedem lat „tłustych”	421
Habilitacje	426
Profesury	436
 Rozdział IX: Wyjazdy zagraniczne: wymiana bezpośrednia, konferencje	
i wykłady gościnne	453
Wprowadzenie	453
Pierwszy nieudany wyjazd	456
Letnia szkoła prawa	457
Pierwsza wymiana bezpośrednia	459
Seminaria w Salzburgu i Oslo	459
Ponownie Pec i po raz pierwszy Zagrzeb oraz Skopje	461
Szkocja	464
Polsko-szkockie seminarium w Krynicy	465
Wykłady gościnne w Wielkiej Brytanii	466
Regensburg, Salzburg i Praga	471
Uniwersytet w Padwie	474
Międzynarodowe kongresy w Lejdzie i Madrycie	476
Ponownie o pobycie w Padwie	478
Zespołowy wyjazd do Helsinek	480

Turku, Paryż i USA	482
Dania, Włochy, Szwecja	483
Światowy kongres w Atenach	484
Jubileusz wydziału prawa w Wilnie	485
Dania oraz światowy kongres w Australii	487
Bochum	491
Europejskie kongresy	493
Pobyty z asystentem w Uppsali	494
USA, Japonia, Europa	496
Kongres w Berlinie, wyjazdy do siedziby Międzynarodowej Organizacji Pracy i do Rzymu	500
Dekada współpracy z UNTREF w Buenos Aires	502
Problem z paszportem	519
Ciąg dalszy impresji argentyńskich	521
Bilans innych wyjazdów, ze szczególnym uwzględnieniem Kolumbii	524
Lima	529
Cuzco i Machu Picchu	534
Caracas	536
Kongres w Santiago de Chile	538
Wrażenia z ponownej wyprawy do Sydney, a następnie do Nowej Zelandii	542
Kongres europejski w Sewilli	546
Światowy kongres w Filadelfii	546
Światowy kongres w Kapsztadzie	550
Jubileusze kolegów i kilka uwag na zakończenie rozdziału	553
Rozdział X: Dodatkowe zatrudnienie	555
Wprowadzenie	555
Prace naukowe	556
Dodatkowe wykłady	562
Projekty badawcze	568
Prace legislacyjne i opinie prawne	582
Praktyka adwokacka	587
Praca w Radzie Europy	613
Rozdział XI: W poszukiwaniu pracy. Aktywna emerytura	633
Postscriptum, czyli o kłopotach z wydaniem tej autobiografii	644
Podziękowania	647

Aneks: Ilustracja fotograficzna wspomnień	649
Część I: Ja i moi rodzice	651
Ja na najstarszych zdjęciach	653
Moi rodzice	655
Moja żona i ja	656
Część II: Nauka i praca oraz ich pożytki	659
Moje szkoły	661
Studia wyższe – moje uniwersytety	665
Adwokatura	683
Misje wyjazdowe z ramienia Rady Europy	685
Międzynarodowa Organizacja Pracy	688
Pożytki ze studiów i pracy naukowej	689
Część III: Ciekawość świata	707
Argentyna (Buenos Aires, Mendoza i Patagonia)	709
Kolumbia	713
Chile (Santiago de Chile)	714
Australia (Sydney)	715
Europa	716
Republika Południowej Afryki	727
Stany Zjednoczone	733
Ameryka Południowa	735
Nowa Zelandia	736
Hongkong	737
Część IV: Hobby	739
Psy	741
Sport	744
Sad owocowy	748

O drodze człowieka „słusznie dumnego”

Dorobek naukowy

Rozmyślając o życiu i dorobku ludzi wybitnych, którzy zmieniali świat, pionierów, wizjonerów i nonkonformistów, innowatorów, ludzi o nieposkromionych i otwartych umysłach, aktywistach, pozytywnych rewolucjonistach, ludziach posiadających zdolność wyznaczania nowych, lepszych kierunków – gdy przychodzą mi na myśl te nieliczne, wybitne postacie, zawsze zastanawia mnie ich droga, proces, poświęcenie, okoliczności i uwarunkowania, w których stawali się tytanami, swoistymi drogowskazami danej dziedziny życia, np.: astronomii, wolnościowych ruchów społecznych, sportu, biznesu, medycyny, prawa, etc...

W naturalny sposób zwykliśmy nieco powierzchownie dostrzegać jedynie finalne efekty dorobku wybitnych postaci, być może nawet niekiedy nonszalancko folgując małostkowym uczuciom zazdrości. Nie dostrzegamy przy tym ich trudu i szkań codziennych poświęceń. Jest to poniekąd naturalne wobec ogromu niemalże przytłaczającego dorobku i osiągnięć naszych mentorów, a często korespondencyjnych konkurentów, co jednak nie powinno zwalniać świadomego umysłu z wyrażenia choćby skrywanego uznania i szacunku.

Fascynuje mnie życiowa i zawodowa droga człowieka, który będąc zwykłym dzieckiem i młodzieńcem z czasem zasłużył w pewnym momencie swego życia (co dalej postaram się wykazać) na arystotelesowskie określenie człowieka „słusznie dumnego”¹, osiągając przy tym status profesora zwyczajnego Uniwersytetu Jagiellońskiego, kierownika Katedry Prawa Pracy i Polityki Społecznej Wydziału Prawa i Administracji UJ, profesora zwyczajnego w Instytucie Nauk o Polityce i Administracji Wydziału Pedagogicznego Akademii Ignatianum,

¹ S. Łojek, *Kim jest „megalopsychos”?*, „Etyka” 2017, t. 40, s. 116.

profesora Jean Monnet Chair w zakresie europejskiego prawa pracy i ubezpieczeń społecznych, wykładowcy na uniwersytetach w Sydney, Buenos Aires, Mendozie, South Bend (Uniwersytet Indiany), Leicester, Glasgow, Edynburgu, Dundee, Nowym Jorku (Uniwersytet Columbia), Filadelfii (Uniwersytet Pensylwanii), Lexington (Uniwersytet Kentucky), Bolonii, Rzymie (LUISS), Leuven, Gandawie, Bochum, Uppsali, Sztokholmie, Peczu, Pradze (Uniwersytet Karola), Turku, Helsinkach.

Fascynująca wydaje mi się droga człowieka, który w czasach nader trudnych ze względów ustrojowo-politycznej izolacji, wynikającej choćby z ograniczeń „żelaznej kurtyny”, został nie tylko absolwentem socjologii i prawa na UJ, ale obronił także magisterium na Wydziale Prawa Uniwersytetu Pensylwanii w Filadelfii (1977), po to, by w konsekwencji piastować najbardziej odpowiedzialne i zaszczytne krajowe i międzynarodowe funkcje naukowe i społeczne, np.: wiceprzewodniczącego Komitetu Praw Społecznych Rady Europy, członka Międzynarodowego Stowarzyszenia Prawa Pracy i Ubezpieczeń Społecznych (IOSS – International Organization of Labour Law and Social Security) oraz Międzynarodowego Stowarzyszenia Stosunków Przemysłowych (IIRA – International Industrial Relations Association), a także Polskiego Towarzystwa Prawa Europejskiego, eksperta Komisji Unii Europejskiej w zakresie prawa pracy, uczestnika Konferencji Generalnych Międzynarodowej Organizacji Pracy (MOP) w latach 2002–2005, prelegenta na konferencjach w Sydney, Helsinkach, Dublinie, Tokio, Oslo, Wilnie, Leuven, Brukseli, Limie etc., krajowego i międzynarodowego koordynatora programów Tempus/Erasmus z zakresu europejskiego prawa ubezpieczeń społecznych, redaktora serii wydawniczych i czasopism: „Prawo Socjalne Unii Europejskiej i Rady Europy”, „Studia z Zakresu Prawa Pracy i Polityki Społecznej”, „The Jagiellonian University Yearbook of Labour Law and Social Policy” (1989–1999), „East West Review of Social Policy”, „Tilburg Foreign Law Review”.

Tym bardziej fascynująca może się zatem wydawać odpowiedź na pytania o cechy osobowe, idee oraz wydarzenia, które ukształtowały arcyministra prawa pracy naszych czasów.

Intrygować może życie osobiste i zawodowe człowieka, który wykształcił całe pokolenia prawników prawa pracy, między innymi w Polsce, Europie, USA. Czytając tę książkę chciałbym się dowiedzieć, co warunkowało sukces człowieka będącego z czasem mentorem i promotorem wybitnych przedstawicieli nauki, w tym ponad dwudziestu doktorów, doktorów habilitowanych i profesorów zwyczajnych. W szczególności interesująca może być odpowiedź na pytanie, czy życie w zgodzie z własnymi zasadami oraz ideałami pomagało w realizacji celów zawodowych, czy też było zgoła przeciwnie?

Czytając tę książkę stanowiącą podsumowanie życia, swoistą autobiografię zawodową, mam nadzieję odkryć, czy w osiągnięciu tak spektakularnego sukcesu

i dorobku sprzyjały Panu Profesorowi szczęście i splot przypadków, czy też nadzwyczajne predyspozycje, a także jakie były jego zawodowe wzorce osobowe?

Można zakładać, że większość odbiorców tej książki zna Pana Profesora jako osobę już dojrzałą, o ukształtowanym dorobku zawodowym oraz naukowym. Z dzisiejszej perspektywy wielkość Pana Profesora jest oczywista, lecz zapewne nie było to przesądzone w trudnych latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i siedemdziesiątych w realiach siermiężnego PRL. Izolacja naszego kraju (a więc także jego obywateli oraz naukowców) nie przeszkodziła jednak Panu Profesorowi w osiągnięciu pozycji „holistyka”: prawnika, socjologa, poliglotty, człowieka światowego, na wskroś nowoczesnego i wybitnie wykształconego. W czasach wyjątkowo trudnych zrodziła się wręcz legenda człowieka, który jak mało kto potrafił dzięki wykształceniu czerpać z życia „całymi garściami”, uosabiając sobą samym trafne sformułowanie Arystotelesa o tym, że „różnią się ludzie wykształceni od niewykształconych (...) tym, czym żywi od umarłych”².

Wielowymiarowość zainteresowań

Mój osobisty pierwszy kontakt z Panem Profesorem Andrzejem Świątkowskim był raczej niezwykły (i bynajmniej niezwiązany z uczelnią lub pracą naukową). W chwili gdy go poznałem po raz pierwszy jako absolwent Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, moja znajomość Pana Profesora ograniczała się do nazwiska z podręczników oraz komentarzy prawa pracy oraz wizerunku fotograficznego. Znałem co najwyżej ułamek jego dorobku. Pana Profesora zobaczyłem po raz pierwszy wiele lat temu na Półwyspie Helskim, przygotowując się na plaży dla windsurferów. Wówczas pojawił się obok mnie człowiek przypominający słynnego profesora Świątkowskiego. Nie miałem naturalnie śmiałości potwierdzenia przypuszczeń u źródła, uznając (naiwnie) za nieprawdopodobne, aby wielki profesor UJ, wykładający prawo niemalże na całym świecie, był windsurferem...

Pan Profesor skromnie mawia, że „ślizga się na starej, długiej i cienkiej desce” (*nota bene* marki Kona), co dla zaznajomionych z windsurfingiem stanowi dowód nienagannej techniki i wysokiego kunsztu w ślizgu, jako że jest to deska szybka, błyskawicznie przechodząca w ślizg, wymagająca przy tym dużych umiejętności, niewspółmiernie większych od obecnie popularnych „pękatek” i łatwych w ślizgu desek turystycznych. W tym samym roku kalendarzowym, dzięki splotowi wręcz nieprawdopodobnych zbiegów okoliczności, udałem się z propozycją mojej dysertacji doktorskiej do kierownika Katedry Prawa Pracy UJ

² Diogenes Laertios, *Żywoty i poglądy słynnych filozofów*, wyd. 2, przeł. I. Krońska, K. Leśniak, W. Olszewski, PWN, Warszawa 1982, s. 264.

znajdującej się przy ul. Grodzkiej w Krakowie. Jakież było moje zdumienie, gdy w gabinecie (na pierwszym piętrze) dostrzegłem tego samego człowieka z plaży dla windsurferów! Pan Profesor siedział ubrany w sposób charakterystyczny dla windsurferów, w luźnej koszulce polo w paski, luźne spodnie, sportowe buty oraz kolorowe skarpety charakterystyczne dla ludzi młodych. To było imponujące – potwierdziła się prawda, że człowiekiem młodym można być w każdym niemalże wieku oraz że wielkość człowieka wynika między innymi z jego wielowymiarowości i nie zawiera się w utartych schematach oraz w tym, co pozorne.

Z całą pewnością nieszampowa postać Pana Profesora może imponować całym pokoleniom młodych naśladowców. Prawnik, socjolog, sędzia, przez wiele lat ratownik morski, windsurfer, poliglota, adwokat, profesor, wykładowca, autor podręczników, człowiek wszechstronnie utalentowany i wykształcony. Stanisław Łojek w opracowaniu *Kim jest (arystotelesowski – przyp. M.M.) megalopsychos?* wskazuje, że człowieka „słusznie dumnego” cechują w szczególności zdolność do walki w obronie wartości nadrzędnych, prawdy oraz przeciwdziałanie krzywdzie innych. Niewątpliwie, pełniąc niesłychanie odpowiedzialną, trudną i niebezpieczną funkcję ratownika morskiego, Pan Profesor musiał być obdarzony takimi właśnie cechami, a w szczególności skłonnością do ryzykowania własnego życia dla ratowania innych. Przedmiotowa cecha wyśmienicie odzwierciedlała się także w życiu naukowym. Pamiętam, gdy swego czasu Pan Profesor, po otrzymaniu informacji o niewłaściwym traktowaniu przez sądy powszechne w całym kraju oraz przez Sąd Najwyższy pracodawców branży TSL (transport, spedycja, logistyka), jako jedyny przedstawiciel środowiska naukowego natychmiast przygotował opracowanie naukowe podważające linię orzeczniczą Sądu Najwyższego oraz utrwalone stanowisko doktryny prawniczej. Miał odwagę stanąć po stronie pokrzywdzonych (*nota bene* skutecznie), nie bacząc na zagrożenie ostracyzmem środowiskowym, w zgodzie z sobą hołdując przymiotom człowieka „słusznie dumnego”, który (jak pisał Arystoteles) „nie naraża się na niebezpieczeństwa dla drobiazgow, ale dla rzeczy wielkich” oraz „dba o prawdę, a nie o pozory”³.

„Gdzie wszyscy myślą tak samo, tam nikt nie myśli zbyt wiele”

Zdolność wsłuchiwania się w cudze opinie cechuje ludzi pełnych szacunku dla innych, lecz mowa tu nie tyle o pobieżnym słuchaniu przekaziciela informacji, co o zdolność wnikliwego wsłuchania się w sens jego wypowiedzi. Doświadczyłem tego ze strony Pana Profesora w dosyć niezwykłych okolicznościach, gdy jako osoba ubiegająca się o patronat nad doktoratem zostałem zaproszony przez niego na zebranie Katedry Prawa Pracy, podczas którego dosyć niefortunnie

³ Arystoteles, *Etyka nikomachejska*, IV 3, 1124 b.

zaprezentowałem pogląd, początkowo niemieszczący się w przyjętym kanonie, który nie wywołał aplauzu wśród większości przedstawicieli Katedry. Wówczas uświadomiłem sobie, że z powodu wyartykułowania nazbyt śmiałej tezy prawdopodobnie możliwość „pozyskania” promotora właśnie się przede mną zamknęła. Tym większe było moje zdumienie następnego dnia, gdy w słuchawce telefonu usłyszałem Pana Profesora telefonującego do mnie z pytaniem: „Na kiedy przygotuje pan tę pracę doktorską? Czy za trzy miesiące będzie gotowa pierwsza wersja tekstu?” Zapytałem wówczas, czy Pan Profesor nie słyszał krytyki środowiska – na co padła odpowiedź mniej więcej w stylu: „Gdyby środowisko naukowe opierało się wyłącznie na utrwalonych poglądach, to przestałoby zasługiwać na przymiot naukowego”. Dzięki takiej właśnie postawie mojego mentora obroniłem pod kierunkiem Pana Profesora dysertację doktorską, podważającą ponad dwudziestoletnie orzecznictwo Sądu Najwyższego, co w konsekwencji po kilku miesiącach od nadania mi stopnia naukowego skutkowało zwołaniem poszerzonego składu siedmiu sędziów Sądu Najwyższego i zmianą utrwalonej od dwóch dekad linii orzecznictwa tegoż sądu. Gigantyczna w tym zasługa Pana Profesora, który okazał wrażliwość i umiejętność wsłuchania się w ideę, która w owym czasie nie znajdowała praktycznie żadnych orędowników w środowisku naukowym prawników. Szacuje się, że zmiana orzecznictwa Sądu Najwyższego w przedmiotowej sprawie uratowała około 30 tys. przedsiębiorstw w Polsce i zapewne nikt nie ma świadomości, że zawdzięcza to skromnemu Profesorowi Świątkowskiemu. Osoby znające Pana Profesora zapewne wielokrotnie odnotowały powtarzaną przez niego frazę, że nie można nikomu narzucać ani tematyki pracy, ani jej treści – każdy ma prawo do własnej oceny, którą własnymi argumentami będzie musiał obronić. Walter Lippmann wyraził to paremią: „Gdzie wszyscy myślą tak samo, tam nikt nie myśli zbyt wiele”. Zdolność Pana Profesora do akceptacji oraz szacunku wobec różnorakich poglądów własnych podopiecznych wynika prawdopodobnie z czerpania nieposkromionej radości z nonkonformizmu naukowego, stanowiąc wyśmienity wzorzec naukowca i pedagoga akademickiego. Parafrazując arystotelesowską koncepcję człowieka „słusznie dumnego”, Mikołaj Krasnodębski definiuje, że jest on „prawdomówny, nie schlebia i nie naśladuje kogoś (nie jest konformistą)”⁴, ale też inne poglądy szanuje, a ludzi traktuje z godnością, co znajduje wyśmienite odzwierciedlenie w postawie Pana Profesora.

⁴ M. Krasnodębski, *Arystoteles teoria wychowania*, „Opieka, Wychowanie, Terapia” 2009, nr 1–2, s. 15–27, <https://mikołaj-krasnodebski.pl/tl/Arystoteles-teoria-wychowania.htm> (dostęp: 1.06.2020).

„A jakie to w sumie ma znaczenie?”

Człowiek „słusznie dumny” nie zwraca uwagi na pozory, lecz koncentruje się na istocie wartości, o którą zabiega lub wręcz walczy. Ujmująca w obcowaniu z Panem Profesorem jest umiejętność nieprzewartościowywania elementów, które w gruncie rzeczy nie zasługują na uwagę w procesie tworzenia rzeczy wielkich. To często artykułowane przez Pana Profesora stwierdzenie wręcz zmieniło moje podejście w życiu do wielu kwestii i pozwoliło mi oddzielać sprawy ważne od nieistotnych. Egzemplifikując, szacunek dla zasad stylistyki tekstu nie może być przedkładany ponad odkrywczą wartość opracowania naukowego, a słuszny wniosek wypływający z pracy naukowej nie może przegrywać ani nawet konkurować z cząstkowymi niedoskonałościami dzieła. Wielki chiński mistrz Chen Yong Fa, spadkobierca systemu Choy Le Fut, Kung Fu (z który miałem zaszczyt trenować podczas seminariów przez wiele lat), mawiał, że mistrz jest potrzebny uczniom po to, aby nauczyć ich w ciągu kilku minut tego, do czego i tak doszliby sami w ciągu połowy swego życia. Możliwość obcowania z Panem Profesorem zaoszczędziła mi wiele lat rozważań nad rozróżnieniem zagadnień ważnych od nieistotnych. Pan Profesor przewartościował moje często przerysowane podejście zarówno do sukcesu, jak i do tego, co we własnym wyobrażeniu autokreujemy jako porażkę. Ocena tego, „jakie naprawdę znaczenie” mają poszczególne okoliczności, pozwala zachować zdrowy dystans do sukcesów, jak i niepowodzeń w życiu osobistym, zawodowym i naukowym. Człowiek „słusznie dumny” jest umiarkowany oraz „nie cieszy się «zbytnio» z powodzenia, ani zbytnio nie rozpacza nad niepowodzeniem”⁵. Powtarzane przez Pana Profesora stwierdzenie: „Ale jakie to tak naprawdę ma znaczenie” świadczy o tym, że nieustannie dokonuje on oceny wartości i koncentruje się na istocie zagadnienia, która jest źródłem prawdziwej wartości dla innych ludzi, zamiast roztrząsać zagadnienia w gruncie rzeczy niezasługujące na poświęcanie im czasu oraz uwagi.

Zdaniem Arystotelesa na miano człowieka „słusznie dumnego” zasługuje osoba obdarzona konglomeratem przymiotów: mądrości, roztropności, wiedzy, męstwa i umiarkowania. Umiarkowanie wynika *de facto* z mądrości i roztropności, a przejawia się w szczególności w nienachalnym hołdowaniu próżności będącej pochodną doświadczanych zaszczytów, przyznawanych funkcji i ról zawodowych, tytułów naukowych etc. W odniesieniu do Pana Profesora przejawia się to wręcz w skromności w zakresie eksponowania stopni oraz tytułów naukowych, ról międzynarodowego wykładowcy najwybitniejszych światowych uczelni, stanowisk w międzynarodowych instytucjach sądowniczych. Egzemplifikację owego umiarkowania stanowić może niestłuchanie bogata aktywność naukowa oraz legislacyjna Pana Profesora na forum instytucji unijnych i międzynarodowych,

⁵ Tamże.

czego świadomość posiada zaledwie wąskie grono jego znajomych. Pan Profesor we własnym wyważonym (umiarkowanym) podejściu do zaszczytów wydaje się wyznawać i potwierdzać zasadę charakterystyczną dla ludzi „słusznie dumnych”, że „zaszczyty zdają się bowiem zależeć raczej od tych, co ich udzielają, aniżeli od tego, kto ich dostępuje”⁶. Brak ze strony Pana Profesora jakiegokolwiek wyniosłości oraz charakterystycznie ciepła aparycja cechująca człowieka „słusznie dumnego”, spełnionego i taktownego wynikają prawdopodobnie z przywołanego na wstępie i często artykułowanego wręcz filozoficznego stwierdzenia: „Jakie to w sumie ma znaczenie?”.

Pan Profesor nie przewartościowuje jednak „znaczenia” kwestii drugopłanowych: stopni, tytułów, ról społecznych – stawiając pracę i jej jakość ponad blichtr, rozwiązując konkretne zadania, moderując otoczenie prawne na poziomie krajowym, a także kreując porządek prawny w wymiarze światowym.

Hedonizm naukowy

Obserwując Pana Profesora przy pracy, nie sposób nie zauważyć, że jest on „hedonistą naukowym” i nieustannie czerpie przyjemność z pracy, przygotowywania kolejnych opracowań, publikacji, książek. Przełożyło się to na gigantyczną spuściznę siedemdziesięciu naukowych książek, obejmujących monografie, komentarze i podręczniki o tematyce polskiego, porównawczego i międzynarodowego prawa pracy, ubezpieczeń społecznych i polityki społecznej oraz ponad siedemset pięćdziesięciu (łącznie z książkami) publikacji naukowych.

Nie zdarzyło mi się słyszeć narzekania na zmęczenie, prawdopodobnie dlatego, że Pan Profesor posiadał zdolność wdrożenia w życie konfucjańskiej idei: „Wybierz pracę, którą kochasz, a nie przepracujesz ani jednego dnia więcej w Twoim życiu”.

Godny rzeczy wielkich

Gigantyczna spuścizna naukowa, społeczna, mentorska, legislacyjna, piśmienicza Pana Profesora stanowi dowód świadomości obowiązków ciążących na człowieku „słusznie dumnym”, który jest wręcz (moralnie) powołany i zobowiązany do realizacji rzeczy wielkich. Arystoteles twierdził: „Słusznie dumny jest [ten], kto uważając siebie za godnego rzeczy wielkich faktycznie na nie zasługuje. Człowiek słusznie dumny nie jest ani zarozumiały (bo nie musi, przemawiają za nim dokonania – przyp. M.M.), ani przesadnie skromny (ponieważ przesadna

⁶ Arystoteles, *Etyka nikomachejska*, IV 3, 1095 b 24.

skromność mogłaby wręcz stanowić o braku szczerości – przyp. M.M.). Jest pośrodku pomiędzy tymi dwiema przeciwstawnymi wadami. Słuszna дума to «okrasa cnót»⁷.

Lektura *Struktury rewolucji naukowych* Thomasa S. Kuhna może uświadamiać zbieżność dróg ludzi wybitnych, których sława niezwykle często pozostawała w cieniu ich naukowych odkryć i dokonań. Umiar w chępieniu się zaszczytami przez ludzi autentycznie wielkich wynika prawdopodobnie z ich pełnego poświęcenia się realizacji idei absorbujących większość przestrzeni czasowej, pozwalając na czerpanie szczęścia z faktu realizacji czynów wielkich, a nie z bezproduktywnego rozpamiętywania zaszczytów.

W mojej ocenie Pan Profesor Świątkowski, jako człowiek „słusznie dumny” jest „uobecnieniem humanizmu ateńskiego i greckiej dążności do tego, co doskonałe”⁸.

Miałem wielki zaszczyt oraz szczęście doświadczyć obcowania z szanownym i bliskim mi Panem Profesorem Świątkowskim. Z tym większą przyjemnością przeczytam niniejszą książkę, stanowiącą podsumowanie dorobku życia jednego z najwybitniejszych prawników, naukowców i wykładowców naszych czasów.

Zapraszam zatem Czytelników do wspólnego poznawania życiowej i zawodowej drogi, która finalnie doprowadziła Pana Profesora do tego, że może on sam powiedzieć o sobie, iż jest człowiekiem „słusznie dumnym”.

Z podziękowaniami dla drogiego Pana Profesora!

Mariusz Miąsko

Kraków, czerwiec 2020 roku

⁷ Za: M. Krasnodebski, *Arystotelesa teoria wychowania*, „Opieka, Wychowanie, Terapia” 2009, nr 1–2, s. 15–27, <https://mikolaj-krasnodebski.pl.tl/Arystotelesa-teoria-wychowania.htm> (dostęp: 1.06.2020).

⁸ Tamże.

**ANDRZEJ MARIAN
ŚWIĄTKOWSKI**

AUTOBIOGRAFIA
NIEKONTROWERSYJNA

Wszystkim moim uczniom

WSTĘP

w którym objaśniam motywy, jakie mną kierowały przy podjęciu decyzji o spisaniu wspomnień i podzieleniu się nimi z Czytelnikami oraz o doborze tytułu autobiografii.

O przemijaniu czasu

Pamiętam, kiedy w latach 70. ubiegłego stulecia, będąc stypendystą Balliol College w Oksfordzie, zaprzyjaźniłem się z Paulem Davisem, który również jak ja specjalizował się w prawie pracy. Podczas jednej wizyty w uniwersyteckiej bibliotece Bodleian Law Library w Oksfordzie ustaliliśmy, że urodziliśmy się w tym samym roku – 1944. Zaczęliśmy rozmawiać o tym, ile jest jeszcze lat pracy uniwersyteckiej przed nami. Obowiązujące wówczas w Wielkiej Brytanii przepisy o przechodzeniu na emeryturę pracowników naukowych były, jak wówczas oceniałem, dla profesora mniej korzystne. Profesorowie uniwersyteccy zatrudnieni w Oksfordzie przechodzili na emeryturę kilka lat wcześniej niż profesorowie polscy. Obaj byliśmy przekonani, że uzyskamy stanowiska profesorskie i będziemy nauczali prawa pracy przez długi okres, ja do 30 września 2014 r., Davies kilka lat krócej. Zgodnie z obowiązującymi przepisami polskiego prawa o szkolnictwie wyższym, stosunek pracy z osobą zatrudnioną na stanowisku profesora tytularnego rozwiązuje się z mocy samego prawa w ostatnim dniu roku akademickiego, w którym profesor kończy 70 lat. Urodziłem się 17 stycznia 1944 r. Ukończyłem więc siedemdziesiąty rok życia w dniu 17 stycznia 2014 r. Zgodnie z obowiązującymi przepisami, mogłem być zatrudniony na uczelni do 30 września 2014 r., był to bowiem ostatni dzień roku akademickiego 2013/2014. Paul natomiast obliczył, że przejdzie na emeryturę dwa lub trzy lata przede mną. Obydwu nam się nasze nadzieje ziściły. Osiągnęliśmy szczyty kariery naukowej w uniwersytetach, w których pracowaliśmy. Zostaliśmy profesorami zwyczajnymi, kierownikami katedr prawa pracy. Obaj byliśmy zgodni co do tego, że nie mamy dokąd odejść z uniwersytetów, w których aktualnie pracujemy, ponieważ każdy z nas jest zatrudniony w najlepszej krajowej uczelni. Byliśmy również zgodni, że chcemy pracować aż do emerytury na swoich uniwersytetach, ponieważ

są one najbardziej prestiżowe w naszych krajach, najbardziej znane w świecie oraz – dodał Paul – Oksford jest także najlepszy wśród znanych w świecie uczelni. Zgodziłem się z nim i z przekonaniem, chociaż bez możliwości udowodnienia swojego twierdzenia, dodałem, że Uniwersytet Jagielloński jest najlepszy w Polsce. W latach 70. XX w. nie prowadzono jeszcze w Polsce rankingów szkół wyższych. Od pewnego jednak czasu Wydział Prawa i Administracji UJ niepodzielnie jest uważany za najlepszy w kraju. Paul jednak nie przeszedł na emeryturę jako profesor Uniwersytetu w Oksfordzie. Po latach pracy w Balliol College przeniósł się do znanej, aczkolwiek – moim i jego zdaniem – nieco mniej prestiżowej uczelni brytyjskiej – London School of Economics. Ja natomiast w 651 roku istnienia mojej *Almae Matris* dotrwałem, po 53 latach związku prawnego, jaki nawiązałem 1 października 1961 r. podejmując studia na ówczesnym Wydziale Prawa UJ, do 30 września 2014 r. w Katedrze Prawa Pracy i Polityki Społecznej UJ. Zgodnie z obowiązującą praktyką, bezwzględnie stosowaną przez senat i rektorów tej uczelni wobec wszystkich profesorów, po oficjalnym pożegnaniu w bibliotece Collegium Maius oraz wspólnym posiłku w gronie emerytowanych profesorów w sali Stubba Communis najstarszego budynku uniwersyteckiego, zostałem zatrudniony w niepełnym wymiarze czasu pracy na umowie o pracę na czas oznaczony na kolejny, dla mnie ostatni, 652 rok akademicki w Uniwersytecie Jagiellońskim. Gdybyśmy znowu mogli porozmawiać na temat przechodzenia na emeryturę przez pracowników naukowych w Wielkiej Brytanii i w Polsce, miałbym możliwość wyrażenia swojej zazdrości (w sensie pozytywnym), że – w ślad za rozwiązaniami prawnymi wprowadzonymi w Stanach Zjednoczonych – profesorowie brytyjscy nie są już zobowiązani do przechodzenia na emeryturę po osiągnięciu wieku określonego przepisami emerytalnego. Mój amerykański mistrz, Clyde W. Summers, profesor prawa pracy Szkoły Prawa Uniwersytetu Pensylwanii w Filadelfii (Penn Law) pracował do końca życia. A dożył 95 lat w pełnej aktywności zawodowej. W Europie powyższa zasada nieusuwalności profesorów została wprowadzona jedynie (jak na razie) w Wielkiej Brytanii. Davis, gdyby chciał, mógłby nadal wykładać oraz pisać i pobierać uposażenie profesorskie bez żadnych przeszkód prawnych.

O aktywności zawodowej

W Europie kontynentalnej jest jednak inaczej, chociaż praktyki interpretowania przepisów o wieku emerytalnym profesorów, którzy nadal chcą być zawodowo aktywni, są rozmaite. Krajowe systemy prawa pracy i ubezpieczeń społecznych większości państw regulują wiek emerytalny profesorów uniwersyteckich na poziomie nieco wyższym od tak zwanego „ustawowego”, a więc powszechnie obowiązującego wieku emerytalnego. W Polsce obecnie jest to 60 lat dla kobiet i 65 mężczyzn. Jednakże w odróżnieniu od osób zatrudnionych w innych

zawodach starsi profesorowie chcą utrzymać na dotychczasowym poziomie aktywność intelektualną oraz – co nie jest bez znaczenia – kontakty z młodymi ludźmi. Władze Uniwersytetu Jagiellońskiego od lat stosują jednak rygorystycznie zasadę, że emerytowany profesor może być zatrudniony – po uzyskaniu pozytywnej opinii macierzystej rady wydziału – w połowie wymiaru czasu pracy tylko w kolejnym roku akademickim albo w pełnym wymiarze czasu pracy w ciągu jednego, zimowego semestru następującego po przejściu na emeryturę. W związku z tym, szansą emerytowanego profesora na przedłużenie aktywności profesjonalnej jest zatrudnienie w szkole niepublicznej. Podjęcie pracy w uczelni prywatnej nie jednak sprawą prostą ze względu na niż demograficzny, duże możliwości studiowania za granicą, zmniejszoną obecnie liczbę kandydatów na płatne studia w Polsce. Doświadczenia zgromadzone w Uniwersytecie Jagiellońskim w okresie bezpośrednio przypadającym przed i po przejściu na emeryturę są bardzo interesujące z profesjonalnego punktu widzenia dla prawnika, który całe życie zawodowe spędził jako pracownik naukowy, adwokat oraz ekspert organizacji międzynarodowej, zajmując się teoretycznymi i praktycznymi problemami prawa pracy, prawa zabezpieczenia społecznego oraz prawnymi aspektami polityki społecznej polskiej, europejskiej, międzynarodowej i porównawczej.

Od 1 września 1966 r., kiedy po wakacjach podjąłem pierwszą stałą pracę jako etatowy aplikant sądowy w Sądzie Wojewódzkim w Krakowie, po ukończeniu pierwszych studiów wyższych na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, do dnia 30 września 2015 r., kiedy ustał mój stosunek pracy z Uniwersytetem Jagiellońskim, przepracowałem nieprzerwanie pół wieku. Nie mogę zatem oczekiwać, że w trakcie mojego jubileuszu laudator podkreśli – jak to uczyniono w październiku 2015 r. podczas uroczystości wręczenia książki jubileuszowej mojemu o rok młodszemu koledze z Wydziału Prawa – iż łącznie przepracował 100 lat (!), z tego 48 w Uniwersytecie Jagiellońskim. Specjalizując się w prawie pracy, będąc zatrudniony na różnych podstawach prawnych, w tym nawet w ramach umów nazywanych obecnie „śmieciovymi” (umów terminowych oraz cywilnoprawnych), mam prawo – z racji zainteresowań badawczych oraz stażu i związanego z nim dużego doświadczenia zawodowego – do uznania własnej aktywności zawodowej za przypadek długiego i pracowitego życia prawnika, w czasie którego sam się uczyłem, uczyłem innych i intensywnie pracowałem. Opublikowałem w ciągu działalności zawodowej (naukowej i praktycznej) ponad 750 opracowań fachowych, kilkadziesiąt książek (monografie naukowych, komentarzy i podręczników z dziedziny, którą się interesowałem – czyli prawa pracy, prawa zabezpieczenia społecznego i polityki społecznej) oraz kilkaset studiów, rozpraw, artykułów, głos do orzeczeń Sądu Najwyższego oraz kilkadziesiąt recenzji książek prawniczych, polskich i zagranicznych. Prace te pisałem głównie po polsku i angielsku. Mam także w dorobku naukowym książki i mniejsze opracowania (artykuły) w językach hiszpańskim, niemieckim, francuskim i rosyjskim. Były

one drukowane w wydawnictwach polskich i zagranicznych. Dysproporcja między moim dorobkiem naukowym a osiągnięciami moich rówieśników stanowiła przedmiot zazdrości środowiska. W 2011 r. podczas Zjazdu Katedr Prawa Pracy w Warszawie żartobliwie, aczkolwiek złośliwie, nazwano mnie „Kraszewskim prawa pracy”. Nie reagowałem na zaczepki. Uważałem, że każdy wyznacza sobie tempo pracy naukowej i reguluje własną dyscyplinę pracy. Jestem przekonany, że coś musiało być na rzeczy, skoro na początku kariery zawodowej uzyskiwałem „dobre” rady od starszych profesorów, aby rzadziej publikować. Wydaje się, że w odróżnieniu od moich rówieśników odkryłem patent na sukces naukowy. Należy pisać systematycznie, publikować, nie zrażać się odmowami druku, nie zawęzać zainteresowań i problematyki badawczej, aby nie wypracować sobie pozycji specjalisty od wąskiego kręgu zagadnień. W ostatniej dekadzie zatrudnienia w Uniwersytecie Jagiellońskim, kiedy zaczęto dokonywać pomiaru efektów naukowych, niemal nieprzerwanie byłem na czele (raz zająłem drugie miejsce) najbardziej wydajnych pod względem publikacji naukowych samodzielnych pracowników naukowych (profesorów tytularnych i doktorów habilitowanych) na Wydziale Prawa i Administracji UJ. Mam nadzieję, że moi dawni uczniowie, obecnie profesorowie prawa pracy Uniwersytetu Jagiellońskiego, wykorzystają swoją szansę po przejściu na emeryturę, aby uzyskać porównywalne do moich rezultaty, pod warunkiem, że zaniechają popularnych w środowisku akademickim praktyk pisania poradników i utrzymają na dotychczasowym poziomie formę intelektualną oraz pracowitość, jaką starałem się w nich zaszczyć.

O alternatywnych tematach twórczości naukowej

Aby uniezależnić się od pozanaukowych wpływów na nieaprobowaną przez starszych profesorów działalność twórczą, leżącą na pograniczu prawa pracy i polityki społecznej, traktującą o podstawowych problemach prawa pracy w Stanach Zjednoczonych: równym traktowaniu zatrudnionych, zakazie dyskryminacji w stosunkach pracy, instytucjach zbiorowego prawa pracy (wolności związkowej, akcjach zbiorowych, strajkach, lokautach), zacząłem publikować artykuły w kwartalniku wydawanym przez Polską Akademię Nauk, redagowanym przez mojego starszego kolegę i przyjaciela profesora Hieronima Kubiaka, dyrektora Instytutu Badań nad Polonią Zagraniczną w Uniwersytecie Jagiellońskim i Oddziale Krakowskim PAN. Ponadto w 1988 r. założyłem w Uniwersytecie Jagiellońskim dwa czasopisma naukowe. Pierwszym było czasopismo drukowane w języku angielskim „Yearbook of Polish Labour Law and Social Policy”, które po kilku latach zmieniło nazwę na „The Jagiellonian University Yearbook of Labour Law and Social Policy”. Rocznik ten nie traktował jedynie o zagadnieniach polskiego prawa pracy i polityki społecznej. Z biegiem czasu

częściej drukowali w nim swoje studia i rozprawy autorzy zagraniczni aniżeli polscy. Charakterystyczną cechą tego czasopisma była możliwość publikowania obszerniejszych, dwu- i trzyarkuszowych prac naukowych. Rocznik był wydawany przez ponad dekadę. W połowie 1994 r. zacząłem wydawać kolejny rocznik „Studia z Zakresu Prawa Pracy i Polityki Społecznej”. To czasopismo założyłem z myślą o doktorantach oraz starszych, bardziej doświadczonych naukowcach, zainteresowanych publikowaniem dłuższych rozpraw naukowych. Komercjalizacja rynku wydawniczego sprawiła, że w większości czasopism prawniczych preferowane były krótkie opracowania praktyczne o charakterze poradników lub quasi-komentarzy do obowiązujących przepisów. W „Studiach” można było drukować opracowania traktowane obecnie jako minimonografie – rozprawy cztero- i sześćoarkuszowe. Poza tym starałem się głównie pisać książki. Pokojowa „rewolucja”, jaka miała miejsce w 1989 r. w nauce, umożliwiła druk książek naukowych wszystkim zainteresowanym. Wydawnictwo WoltersKluwer drukowało jako monografie nawet prace magisterskie. Było to nie do pomyślenia jeszcze kilka lat wcześniej. Uważałem za duży sukces, że w rok po doktoracie w „Pracach Prawniczych Zeszytów Naukowych UJ” ukazał się niewielki, pięcioarkuszowy fragment mojej rozprawy doktorskiej. W tym czasie koledzy z Warszawy lub Łodzi drukowali swoje prace doktorskie w centralnych wydawnictwach: Państwowym Wydawnictwie Naukowym albo Wydawnictwie Prawniczym. Taka sama praktyka miała miejsce z rozprawami habilitacyjnymi. Prace prawnicze dezaktualizują się dosyć szybko. Nie każdy, kto zajmuje się prawem pozytywnym, a nie historią albo teorią prawa, ma na tyle dyscypliny, aby pisać do przysłówiowej „szuflady” i oczekiwać na lepsze czasy – hośną wydawniczą.

Od połowy lat 70. zajmowałem się całkowicie abstrakcyjnymi zagadnieniami amerykańskiego prawa pracy oraz normami prawnymi wydanymi w USA z myślą o ochronie podstawowego prawa człowieka – uprawnienia do równego traktowania w zatrudnieniu. Niewielu kolegów podejmowało wtedy te zagadnienia. Nie było to bowiem możliwe bez uprzednich studiów w Stanach Zjednoczonych. Ja miałem szczęście, ponieważ całkowicie przypadkowo uzyskałem, podobnie jak wielu innych socjologów z Uniwersytetu Jagiellońskiego, dzięki staraniom Kubiaka, stypendium Fundacji Kościuszkowskiej. Była to życiowa szansa nauczania się języka, zgromadzenia materiałów niedostępnych w Polsce oraz pisania o problemach całkowicie wówczas w kraju egzotycznych, a dzisiaj fundamentalnych z perspektywy ochrony praw społecznych powszechnie uznawanych za podstawowe prawa człowieka. Warto więc przejść do porządku dziennego nad uszczypliwymi komentarzami kolegów specjalizujących się w prawie pracy, że od habilitacji, mającej charakter studium prawnospołecznego, poświęconej problemom równouprawnienia w stosunkach pracy w Stanach Zjednoczonych, zacząłem pisać w kwartalniku społeczno-humanistycznym, lecz nie prawniczym,

o statusie Afroamerykanów (wcześniej mówiło się „Murzynów”). Z obecnej perspektywy tego typu komentarze można z łatwością zdezwuować z uwagi na naruszenie podstawowego kanonu poprawności politycznej w relacjach międzyludzkich. Po zmianie ustroju w 1989 r. okazało się, że jako jeden z niewielu prawników mam rozeznanie w zbiorowych stosunkach pracy opartych, jak wówczas powszechnie uważano, na sprzeczności interesów między „pracą” a „kapitałem”. Obecnie pracodawcy oraz pracownicy i ich przedstawiciele są uważani w Unii Europejskiej za partnerów społecznych. Całe życie zawodowe zajmowałem się problemami prawnymi pracy świadczonej przez ludzi występujących w roli społecznej pracowników, zatrudnionych i osób samozatrudnionych.

Patrząc na swój dorobek naukowy, zacząłem nawet się zastanawiać, czy przypadkiem nie jestem „pracholikiem” uzależnionym od pisania rozpraw naukowych. Jeszcze pod koniec lat 90. ubiegłego stulecia i w początkach pierwszej dekady XXI wieku za trytomową monografię – uznaną przez nestora prawa pracy profesora Wojciecha Muszalskiego z Uniwersytetu Warszawskiego za „traktat naukowy” poświęcony europejskiemu prawu socjalnemu, prawu pracy i prawu ubezpieczeń społecznych – mogłem kupić w Beskidzie Wyspowym niewielkie gospodarstwo sadownicze ze starym, okazałym rozmiarów drewnianym domem i ogromną stodołą. Później płacono w miarę dobrze wyłącznie za komentarz do Kodeksu pracy, który samodzielnie napisałem oraz za pierwsze wydanie podręcznika polskiego prawa pracy. Mimo redukcji bodźców majątkowych nie straciłem ochoty do pisania na tematy prawa pracy oraz innych prawno-społecznych zagadnień łączących się z pracą człowieka.

Wydaje się, że autobiografia jest właściwym miejscem do wyjaśnienia fenomenu charakteryzującego część „płodnej” społeczności naukowców, wewnątrznie „przymuszonych” do systematycznego, niemal codziennego pisania. Nie mogę powiedzieć, że zajmuję się pisarstwem naukowym z przyjemności. Pisanie jako praca, zawód nie sprawia mi przyjemności. Nie czytam nigdy własnych opublikowanych książek i innych tekstów. Czuję się jednak zobowiązany wobec samego siebie do codziennego zajmowania miejsca przy stole, biurku nad kartką papieru. Na początku pisałem ręcznie, następnie na maszynie do pisania. Obecnie zasiadam przy komputerze. Spędzam w ten sposób kilka godzin. Nikt mnie do tego nie przymusza. Jestem na emeryturze. Od drugiego semestru roku akademickiego 2014/2015 wykładam co prawda prawo pracy (polskie i europejskie) na kierunku administracja w Akademii Ignatianum w Krakowie (AIK), ponieważ dla uczelni konieczne było zatrudnienie tytularnego profesora prawa w celu uruchomienia studiów magisterskich. Nie konkuruję z nikim, albowiem dopiero w następnym roku akademickim 2015/2016 zatrudniono drugiego prawnika specjalizującego się w prawie kanonicznym. Odchodząc z Uniwersytetu Jagiellońskiego – który można porównać do dużej korporacji – do niepublicznej elitarnej, katolickiej szkoły wyższej, przestałem uczestniczyć w swoistym

„wyścigu szczurów”. Mam szczęście. Prowadzę zajęcia dydaktyczne w małych grupach studentów. Akademia Ignatianum, elitarna szkoła wyższa, kształci ponad trzy tysiące studentów. W porównaniu z Uniwersytetem Jagiellońskim to niewiele. Zwraca uwagę na jakość i komfort kształcenia zarówno studiujących, jak i wykładowców.

Postanowiłem więc zacząć pisać autobiografię. Tego typu utwory od dawna budziły moje zainteresowanie jako czytelnika. Na rynku wydawniczym funkcjonują wspomnienia prawników, moich nauczycieli akademickich: rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego Stefana Mieczysława Grzybowskiego¹, Stanisława Edwarda Nahlika² oraz Władysława Siedleckiego³. Swoje „memuary” opublikowali światowej sławy profesorowie prawa pracy – Belg Roger Blainpain⁴ oraz Brytyjczyk Bob Hepple⁵. Wspomnienia zmarłego w 2015 r. profesora Hepple’a obejmują okres kilku lat (1960–1963), kiedy mieszkał i prowadził w Republice Południowej Afryki praktykę prawniczą, reprezentując Nelsona Mandelę i innych przywódców lewicowego ruchu wyzwolenczego, między innymi Waltera Sisulu i Govana Mbeki⁶. Ostatnio ukazały się pamiętniki Aleksandra Koja, rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego. Te ostatnie zawierają zbyt wiele informacji technicznych. Przypominają bardziej sprawozdanie rektorskie składane senatowi uniwersyteckiemu podczas inauguracji roku akademickiego. Są pozbawione osobistych akcentów. Nie zawierają przemyśleń związanych z prowadzoną działalnością naukową i nauczaniem oraz życiem towarzyskim. Świetne wspomnienia natomiast ogłosił drukiem Stanisław Salmonowicz, prawnik, emerytowany profesor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, w przeszłości adiunkt zatrudniony na Wydziale Prawa UJ, specjalista w dziedzinie historii prawa. Podziwiam pamięć i ogrom informacji zebranych w jego książce zatytułowanej *Życie jak osioł ucieka...*⁷. Niewątpliwie autor prowadził dzienniki lub szczegółowe notatki. Po przeczytaniu tej książki na początku 2015 r. odstąpiłem od zamiaru pisania autobiografii. Doszedłem do wniosku, że nie jestem w stanie przedstawić w swojej książce tak szczegółowo, jak uczynił to Salmonowicz,

¹ S.M. Grzybowski, *Wspomnienia*, WoltersKluwer, Warszawa 1999.

² S.E. Nahlik, *Przesiane przez pamięć*, t. I, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1987; t. 2–3, Zakamycze, Kraków 2002.

³ W. Siedlecki, *Spojrzenie wstecz*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Kraków 1989.

⁴ R. Blainpain, *Memoirs of Roger Blainpain „What I can do for you”*, Vanden Broele Publishers, Brugge 2009.

⁵ A. Koj, *Trzy kadencje. Wspomnienia rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego*, Universitas, Kraków 2014.

⁶ B. Hepple, *Young man with a red tie: A memoir of Mandela and the failed revolution*, Amazon-Kindle 2013.

⁷ S. Salmonowicz, *„Życie jak osioł ucieka...”*. *Wspomnienia*, Instytut Pamięci Narodowej. Komisja Ścigania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu, Bydgoszcz–Gdańsk 2014.

faktów z mojego życia. Nie sporządzałem ani notatek w kalendarzach, ani nie prowadziłem dziennika. Pamiętam zatem wybiórczo i niedokładnie zdarzenia, których byłem świadkiem. Mam jednak fotografie z czasu pobytów zagranicznych. Porządkując archiwum fotograficzne, doszedłem do wniosku, że zdjęcia mogą być pomocne w odświeżaniu pamięci. Zdjęcia wykorzystane przy pisaniu autobiografii nie mają walorów artystycznych. Pozwoliły mi jednak odnaleźć w pamięci ludzi i zdarzenia, o których chciałem napisać. Takie podejście do wspomnień pozwala zrozumieć, że podobne zdarzenia i sytuacje mogą być postrzegane w niejednakowy sposób. Ta uwaga nasunęła mi się po przeczytaniu wydanej niedawno autobiografii Stanisława Waltośa⁸.

O pracy i prawnikach o pracy piszących

Po kilkudziesięciu latach pracy naukowej mogą przyznać z całą odpowiedzialnością, że nigdy – bez względu na stworzone mi warunki do pracy naukowej i pisarskiej – nie napisałem nawet linijki w biurze, które mi przydzielono. W Katedrze Prawa Pracy UJ miałem biurko w pomieszczeniu na trzecim piętrze przy ul. Olszewskiego 2, w którym poza mną „urzędowało” kilka innych osób. Sytuacja lokalowa nie poprawiła się w innych miejscach, do których przenoszona była nasza katedra. Z tej więc przyczyny, kiedy uzyskałem – z racji sprawowania funkcji kierowniczych – pod koniec lat 80. XX w. własny pokój, tzw. „gabinet”, nie zmieniłem przyzwyczajeń. Przychodziłem do pracy dwa razy w tygodniu, we wtorki i czwartki, wykorzystywałem przydzielone mi pomieszczenie wyłącznie do celów dydaktycznych, a nie do pracy naukowej. Prowadziłem tam seminaria magisterskie dla studentów prawa. W Krakowie pracowałem w mieszkaniu. Podczas wyjazdów zagranicznych – w hotelach, domach studenckich albo innych pomieszczeniach wskazanych przez organizatora pobytu, najczęściej uczelniej zapraszającą. W Uppsali mieszkalem w osobnym pokoju w domu należącym do rodziny szwedzkiej, w Kopenhadze – w kilkupokojowym mieszkaniu. Bez względu na warunki mieszkaniowe starałem się wypracować codzienny rytuał polegający na podejmowaniu próby pracy naukowej – czytania i, co było trudniejsze, pisania o czymś, nad czym aktualnie pracowałem. Doszedłem do przekonania, że o sukcesie w pracy naukowej oraz publikacjach nie decyduje jedynie „pozostawanie w stanie gotowości” do tworzenia artykułu, rozprawy albo monografii. Natchnienie, wena twórcza nie nawiedzają bowiem osób oczekujących na inspirację.

Czytając, co jest moim ulubionym zajęciem, biografie i autobiografie osób zajmujących się twórczością literacką i nauką natknąłem się, nie pomnę

⁸ S. Waltoś, *Wędrowanie po wyspach pamięci*, WoltersKluwer, Warszawa 2019.

gdzie, na wynurzenia człowieka zatrudnionego w charakterze scenarzysty zatrudnionego w Hollywood. Pisał, że jego praca polega na pisaniu od 9.00 do 17.00 z godzinną przerwą na lunch. Pracodawca nie wymagał od niego, aby pozostawał w gotowości do pisania, tylko pisał. Scenarzysta, późniejszy wybitny pisarz amerykański, miał ustaloną normę dzienną. Mając rozwiniętą wyobraźnię, a będąc z natury nieco leniwy, miałem świadomość, że jeżeli zdecyduję się czekać na rozniecenie w sobie „iskry bożej” inspirującej do napisania czegoś, nigdy niczego nie napiszę, ponieważ nie pokonam przyjemności płynącej z nie-robienia niczego. Ów stan niepokoju, nawet niezadowolenia z niemożności podjęcia działania, które z racji wykonywanego zawodu pracownika naukowego powinienem był systematycznie wykonywać, leżał w moim przypadku u podstaw mojej aktywności pisarskiej.

Z pewnością byłem ambitny. Chciałem awansować, to znaczy pokonywać kolejne stopnie uniwersyteckiej kariery zawodowej: doktora, doktora habilitowanego, docenta, profesora nadzwyczajnego i osiągnąć końcowy cel – tytuł naukowy i stanowisko profesora zwyczajnego. Po 25 latach pracy naukowej znalazłem się na szczycie. Osiągnąłem sukces, ponieważ rozpoczynając pracę w Katedrze Prawa Pracy UJ 1 października 1969 r. znałem jedyny powód, dla którego piszę prace naukowe. Badania naukowe i działalność twórcza interesowały mnie bardziej aniżeli inne zajęcia zawodowe. Nikt mnie nie zachęcał, abym pisał książki, artykuły, glosy i recenzje. Nikt mnie nawet nie zapytał nad czym obecnie pracuję. W moich czasach asystentem na uniwersytecie można było być niemal przez dekadę. Przez prawie identyczny okres można było przygotowywać nie tylko pracę doktorską, ale również rozprawę habilitacyjną. Po jej uzyskaniu doktor habilitowany był powoływany na stanowisko docenta i po napisaniu kolejnych dwóch monografii „profesorskich” uzyskiwał tytuły profesorskie. W katedrach i zakładach naukowych na stanowisku profesora była z reguły zatrudniona jedna osoba. Sprawowała funkcję kierownika danej jednostki organizacyjnej. Zatem większość osób zatrudnionych na stanowiskach asystentów dochodziła najwyżej do stopnia doktora i obejmowała stanowisko adiunkta. Teraz jest podobnie, z tym że organizacje przedstawicielskie tzw. „pomocniczych” lub „niesamodzielnych” pracowników naukowych w szkołach wyższych podejmują starania o zagwarantowanie zatrudnienia po upływie okresów rotacyjnych albo negocjują z władzami uczelni długie okresy rotacyjne, tak że magistrowie i doktorzy nierozwijający się naukowo pracują do osiągnięcia wieku emerytalnego albo dłużej. W przypadku zatrudniania asystentów i doktorów na podstawie umowy o pracę, a nie mianowania, osiągnięcie ustawowego wieku emerytalnego nie uzasadnia wypowiedzenia umowy ze względu na prawnie zabronioną dyskryminację w zatrudnieniu z uwagi na wiek pracownika.

O metodach pracy

Z tego, co napisałem, wynika, że pisałem prace naukowe, ponieważ miałem ambicje i odpowiadała mi praca niewymagająca codziennej obecności przez osiem godzin w zakładzie pracy. Z tej perspektywy praca naukowa była bardzo atrakcyjna. Nie traktowałem jej jako obowiązku. W czasach mojej pracy na uniwersytecie liczba obowiązkowych godzin zajęć dydaktycznych (pensum dla asystentów i adiunktów) wynosiła 270 godzin rocznie. Teraz została ona zredukowana do 240. Profesorowie i docenci mieli obowiązek nauczać, wyklądać i prowadzić seminaria przez 180 godzin w roku akademickim, od października do połowy czerwca. Można było się starać o stypendia zagraniczne, wyjazdy na kongresy i konferencje za granicą. W pracy naukowej człowiek czuł się wolny. Były osoby, które w trakcie pobytu na stypendiach nie prowadziły badań naukowych. Z moich doświadczeń wynika, że nie wymagano zdania sprawozdania z pobytu naukowego i osiągniętych rezultatów naukowych. Może miałem szczęście, że mój „szef” nie był biurokratą (wyrzucał do kosza pisma z rektoratu) i nigdy nie kazał mi składać sprawozdań i rozliczeń z czasu spędzonego na stypendium. Najprawdopodobniej uznawał, że w moim przypadku nie było to potrzebne, albowiem dość rygorystycznie przestrzegałem zasady, że po dłuższym (rocznym) pobycie na stypendium muszę napisać książkę, a po pobycie krótszym artykuł albo rozprawę naukową. Nie było to zadanie łatwe.

Z początku pisało mi się ciężko. Stosunkowo szybko doszedłem do wniosku, że koniecznym warunkiem sukcesu pisarskiego jest dokładne zapoznanie się z fachową literaturą oraz dotarcie do sedna problemu, o którym warto pisać. Przed rozpoczęciem pisania należało więc czytać i nieustannie rozmyślać na temat, o którym zamierza się pisać. Bardzo często zdarzało mi się budzić w środku nocy, ponieważ do głowy przyszła mi myśl lub pomysł rozwiązania zagadnienia, nad którym pracowałem. Być może nabyłem tego zwyczaju od ojca, który był inżynierem włókiennikiem i miał na koncie szereg patentów oraz wynalazków. Matka była przeciwna jego popołudniowym drzemkom, ponieważ uważała, że wstaje w nocy dlatego, iż czuje się wyspany. On bronił się, tłumacząc, że niespodziewany pomysł dotyczący istotnego problemu zawodowego, nad którym pracował, objawił mu się w nocy. Bardzo się jego wytłumaczeniom dziwiłem. Podczas pobytów stypendialnych w Stanach Zjednoczonych prowadziłem samodzielne, bardzo skromne „gospodarstwo”, ze względu na ograniczone środki finansowe i chęć zaoszczędzenia pieniędzy na kupno samochodu. Mimo zmęczenia powodowanego stosunkowo dużym wysiłkiem fizycznym związanym z nieustannymi (z wyjątkiem wizyt w Fundacji Kościuszkowskiej w celu skopiowania na kserokopiarce materiałów naukowych) marszami po Manhattanie z „góry” (z północy) w „dół” miasta (na południe) i z powrotem, przystępowałem do pisania. Pisałem codziennie. Stosowałem różne mierniki wydajności pracy. Gdy miałem dokładny

plan, pisałem pięć stron dziennie. Później obniżyłem dzienną wydajność do trzech stron. Dbąłem, aby po uzyskaniu normy dziennej doprowadzić wywody do miejsca, w którym następnego dnia będę mógł kontynuować pracę. Noto- wałem szkic dalszych rozważań. W ten sposób bez konieczności codziennego czytania od początku tego, co zostało już napisane, mogłem zapisywać dalszy tok wywodów i argumentację. W trakcie pisania tej autobiografii początkowo przestrzegałem normy dwóch godzin pisania dziennie. Zmieniłem zatem technikę pracy. Potem powróciłem do dawnych zwyczajów. Pisałem trzy albo nawet pięć stron dziennie. Nigdy więcej. Mam ogólny plan pracy, którego realizacja jest uzależniona od wydajności mojej pamięci, a nie – jak w przypadku pracy naukowej – od staranności w fazie przygotowawczej. Praca nad autobiografią daje mi poczucie pożytecznego spędzania czasu na emeryturze. Jak widać, staram się uchronić przed niepokojem powodowanym beczynnością oraz wyzwolić z podejrzenia o pracoholizm w czasie, kiedy nie mam obowiązku pracować. Poczucie obowiązków wynikających z pracy w charakterze profesora zwyczajnego uniemożliwia zaprzestanie zajmowania się pracą naukową i skoncentrowanie się wyłącznie na niewielkich obowiązkach dydaktycznych. Łudzę się więc, że ograniczona dawka pracy naukowej, zmniejszone wymagania wobec emeryta, który przeżył pracowicie – co postaram się wykazać w tej książce – życie zawodowe, usprawiedliwiają obniżone wymagania, jakie sobie obecnie stawiam. Nie traktuję pisania autobiografii oraz innych, drobniejszych opracowań naukowych z mojej dyscypliny jako obowiązku. Traktuję to jako swoją szansę życiową. Mam bowiem nadzieję, że moja obecna aktywność zawodowa, polegająca na kontaktach z ludźmi co najmniej dwa razy w tygodniu, we wtorki i czwartki, stała dawka pisania oraz systematyczna lektura fachowej literatury spowolnią i uprzyjemnią dolegliwości nieuchronnego procesu starzenia.

O pracy i pracowitym życiu prawnika

Moja historia życia dowodzi, że można jednocześnie zajmować się prawem pracy i być pracowitym prawnikiem. Początkowo zastanawiałem się, czy nie zaznaczyć w tytule autobiografii mojej specjalności naukowej – prawa pracy. Z przyczyn marketingowych odstąpiłem od powyższego zamierzenia. Kto chciałby czytać o pracy, pracownikach oraz o przepisach prawnych regulujących warunki zatrudnienia nauczycieli akademickich pracujących w wyższej uczelni, nawet tak prestiżowej jak Uniwersytet Jagielloński? Jako człowiek wykształcony i aktywny w sprawach zawodowych nie zmarnowałem szans, które zawdzięczam swojej pracy oraz korzystnym zrządzeniom losu. Niniejsza *Autobiografia niekontrowersyjna* traktuje zatem o drodze życiowej i zawodowej prawnika w okresie zmian politycznych i społecznych, jakie miały miejsce w naszym kraju po II wojnie światowej.

O tym, czym według mnie jest autobiografia

Zamieszczone w autobiografii sądy i oceny mają charakter subiektywny. Nie mogłem ich uniknąć. *Ex definitione* autobiografia jest dziełem pisarskim, które ma charakter osobisty. Przywołując tutaj różne osoby i wydarzenia, nie zamierzam nikogo obrazić. Tych czytelników, którzy mają w tej kwestii odmienną opinię, serdecznie przepraszam i proszę o wybaczenie. Zamieszczone w autobiografii wzmianki świadczą o tym, że trwale zapisali się w moim życiu zawodowym. Osobiście zawsze byłem zwolennikiem angielskiej maksymy: *A good word, they say, costs no more than a bad*⁹, przerobionej w wydaniu amerykańskim na wyrażenie: „Dobrze lub źle, byle po nazwisku”. Ostatecznie, jest zasadnicza różnica między autobiografią a biografią. Tę drugą tworzy zawsze osoba trzecia. Tylko ona jest zobowiązana do dokumentowania i prezentowania autentycznych faktów oraz udokumentowanych zdarzeń i opinii o ludziach i sprawach, z którymi miała styczność osoba występująca w wiodącej roli „bohatera” biografii. Pisząc o sobie, korzystam z większej wolności w sprawach dotyczących sądów o innych osobach, z którymi zetknąłem się w trakcie mojego życia zawodowego. Korzystam więc z większej swobody od osoby mi nieznanej, która podjęłaby próbę prezentacji mojej drogi życiowej. Jak wspominałem, nie pisałem dzienników, nikt więc oprócz mnie nie ma prawa do pisania o moich odczuciach i nastawieniu wobec osób, które mogę tu wspominać i o których mam prawo wyrażać opinie (pochlebne albo krytyczne) w autobiografii będącej własną opowieścią o sobie samym. Autobiografia jako gatunek literacki jest bogatsza od biografii. Jej autor pisząc o sobie przedstawia nie tylko fakty i zdarzenia. Przytacza również własne opinie i oceny o ludziach i sprawach. Przeto poza warstwą faktograficzną autobiografia zawiera emocje i uczucia wcześniej ujawnione przez autora, a następnie przez niego opisane. Także w przypadku twórczości naukowej autobiografia dostarcza czytelnikowi informacji o czasach, wydarzeniach, osobach: twórcach, świadkach i odbiorcach (adresatach) określonych zdarzeń, opisywanych przez autora autobiografii oraz o jego opiniach o nich. Autor jako narrator występuje jednocześnie w autobiografii w rozmaitych wyżej wymienionych rolach społecznych. Korzystając z tego uprawnienia, przedstawiam pracę, w którą byłem zaangażowany i swoje profesjonalne życie zawodowe.

⁹ G.L. Apperson, *The Wordsworth Dictionary of Proverbs*, Ware, Hertfordshire 1993, s. 264.

Rodzice i najbliższa rodzina

Pochodzenie społeczne

Życiorysy, które musieli pisać w latach 50. XX w. wszyscy – również uczniowie szkół podstawowych – ja rozpoczynałem od zdania „Urodziłem się w dniu 17 stycznia 1944 r. w Warszawie w rodzinie robotniczej”. Podanie statusu społecznego w PRL, zwłaszcza w początkowym okresie funkcjonowania nowego systemu polityczno-gospodarczego, nazywanego przez ówczesne władze państwowe ustrojem „sprawiedliwości społecznej”, było obowiązkiem każdego obywatela. Oficjalnie należało być dumnym z przynależności do klasy robotniczej jako „najbardziej postępowej” warstwy społecznej. Z biegiem czasu, pisząc życiorysy na potrzeby placówek szkolnych i uniwersyteckich, przestałem się chlubić posiadaniem ojca robotnika, który po wyzwoleniu Polski z okupacji niemieckiej był zatrudniony, mimo formalnego braku odpowiednich kwalifikacji zawodowych, na stanowisku dyrektora technicznego w zakładach przemysłu bawełnianego. Określenie, że pochodzę z rodziny robotniczej zastąpiłem sformułowaniem, iż wywodzę się z „technicznej inteligencji pracującej”. O pochodzeniu matki nie wspominałem, ponieważ jej ojcem był Stanisław Kucharski, zmarły „w czynnej służbie” posterunkowy Policji Państwowej. W rodzinnych dokumentach zachowało się zaświadczenie wydane mojej babce Kazimierze Kucharskiej 15 kwietnia 1930 r., po trzech latach od śmierci dziadka Stanisława (15.10.1927), przez Komendanta Policji Państwowej miasta stołecznego Warszawy (Nr 10/306) o przyznaniu jej – w porozumieniu z Warszawską Izbą Skarbową Grodzką – od dnia 1 marca 1930 r. „na czas wdowieństwa pensji wdowiej” za 10 lat „policzalnej” służby policyjnej dziadka Stanisława. Zaświadczenie było podpisane przez Czyniowskiego, inspektora policji. Babcia Kazimiera pobierała rentę

w wysokości 50% stałego uposażenia przysługującego zmarłemu dziadkowi. Moja matka Eugenia Stanisława Kucharska, urodzona 19 grudnia 1922 r., otrzymała od policji rentę rodzinną, zwaną wówczas „sierocą”, w wysokości 25% świadczenia przysługującego swojej matce, wdowie po nieżyjącym posterunkowym Stanisławie Kucharskim. W nowym, ówczesnie panującym ustroju niezręcznie było ujawniać pochodzenie matki, która również wywodziła się z klasy pracującej. Jej matka Kazimiera, z domu Pytel, urodzona w Warszawie 20 stycznia 1894 r., była bowiem zatrudniona jako tkaczka od 1910 r. w firmie „Wola” w Warszawie. Babcia Kazimiera od szesnastego roku życia do nabycia uprawnień emerytalnych 44 lata później pracowała jako tkaczka. A więc przez całe życie trudniła się pracą fizyczną. Była robotnicą w fabrykach włókienniczych. Zmarła w wieku 87 lat w dniu 6 marca 1981 r. Matka natomiast nigdy nie pracowała zawodowo. Wspominała, że uczęszczała do szkoły podstawowej i gimnazjum, uzyskała tzw. „małą” maturę. Pełnej matury nie zdobyła. Przeszkodził jej w tym wybuch II wojny światowej. W wieku dziewiętnastu lat zawarła w dniu 27 stycznia 1942 r. z moim ojcem Jerzym Świątkowskim, starszym od niej o dziewięć lat, związek małżeński w rzymskokatolickiej parafii św. Wojciecha na Woli w Warszawie (nr aktu 21).

Nazwisko Świątkowski jest znane od 1399 r.¹ Pochodzi od nazw miejscowości: Świątkowo lub Świątkowa, Świątkowice lub podobnej, położonych w różnych stronach Polski. Raz podczas jazdy samochodem nad morze na granicy województw wielkopolskiego i zachodniopomorskiego na bocznej drodze zauważyłem drogowskaz do miejscowości Świątkowice. Nie mieliśmy czasu, żeby tam wstąpić, poza tym byliśmy z żoną zbyt młodzi, żeby interesować się pochodzeniem nazwiska. Nazwisko Świątkowski związane jest także z imionami męskimi Świętosław, Świętobór lub z przymiotnikiem święty². Jan Stanisław Bystron twierdzi, że dzień chrztu mógł dać początek nazwisku Świątkowski³. Jako przykład podaje Świątkowskich nobilitowanych w 1765 r., herbu Nowina. Inna hipoteza genezy tego nazwiska łączy się z nastawieniem osób je noszących do sposobu spędzania czasu – świętowania, podróżowania, nicnierobienia, strajkowania⁴. Nie wiem, czy jestem typowym przedstawicielem tego rodu. Lubię podróżować, o czym piszę we wspomnieniach. Raz w życiu strajkowałem w dawnym Związku Sowieckim, o czym również piszę. Mogę jednakże już teraz powiedzieć, że swoje życie przeżyłem pracowicie. Koledzy w szkole traktowali moje nazwisko przymiotnikowo. Wołali na mnie „Świątek”. Nie lubiłem tej ksywki do tego stopnia, że nie rozmawiałem o niej nigdy ani z ojcem, ani z bratem. Oni też ze mną o tym

¹ A. Karlikowski, *Nasze nazwiska*, Książka i Wiedza, Warszawa 2012, s. 383.

² K. Rymut, *Nazwiska Polaków*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1991, s. 270.

³ J.S. Bystron, *Nazwiska polskie*, Książka i Wiedza, Warszawa 1993, s. 197.

⁴ *Słownik języka polskiego*, t. 6, Nakładem prenumeratorów i Kasy im. Mianowskiego, Warszawa 1915, s. 772–773 (tzw. *Słownik warszawski*).

nie mówili. Z tego wnoszę, że ich koledzy szkolni musieli także na nich wołać w ten sposób, a im się najprawdopodobniej to również nie podobało.

Podając informacje w różnego rodzaju ankietach, które dość często, a nawet regularnie trzeba było wypełniać i przedstawiać instytucjom publicznym (szkołom, zakładom pracy), zawsze pisałem w rubryce „pochodzenie/zawód matki” – „gospodyni domowa”. Kilkadziesiąt lat temu nie tylko w Polsce role społeczne kobiet były wyraźnie określone. Nie eksponowano ich ze względu na źródło zasady obowiązującej w Niemczech „Kinder, Küche, Kirche”, jednak nowy, postępowy ruch socjalistyczny, jaki nastał po II wojnie światowej w naszym kraju, dobrze znosił, a nawet wyznawał powyższą zasadę. Mimo działań podejmowanych przez partie polityczne (PPR i PPS) oraz władze państwowe, kobieta mogła więc spokojnie nie pracować zawodowo, jeżeli zajmowała się prowadzeniem domu oraz wychowaniem dzieci, na przykład tak jak moja matka, dwóch synów: mnie i młodszego ode mnie o sześć lata brata Wojciecha. Oczywiście koniecznym warunkiem takiego modelu życia był dobrze zarabiający mąż, występujący w roli „jedyne go żywiciela rodziny”. Mój ojciec – jak na stosunki polskie – zarabiał dobrze. Poza pracą zawodową oraz kolekcjonowaniem znaczków pocztowych niczym innym się nie zajmował. Do mojego, a później również mojego brata wychowania w zasadzie się nie wtrącał. Ograniczał swoją rolę wychowawczą do wymierzania nam kar cielesnych. Wspominam o tym, a także o innych sprawach spokojnego życia rodzinnego w dalszym fragmencie tego rozdziału.

Miejsce urodzenia i zamieszkania

Urodziłem się niemal dwa lata po zawarciu związku małżeńskiego przez rodziców. Rodzice mieszkali wraz z babcią Kazimierą w Warszawie na Woli przy ul. Płockiej 45/3. W mieszkaniu tym przed wprowadzeniem się ojca mieszkała babcia z matką. Po śmierci dziadka Stanisława nie powodziło im się dobrze. Nie było ich stać na budowę domu jednorodzinnego na działce położonej we wsi Koło, przylegającej wówczas do granic administracyjnych Warszawy. Zarobki posterunkowego policji oraz robotnicy włókienniczej umożliwiły im zakup działki budowlanej o powierzchni, wraz z drogą, 2000 łokci kwadratowych, czyli 663,65 m². Właścicielem tej działki, według zaświadczenia wystawionego po wojnie w dniu 30 lipca 1948 r. przez Oddział Ksiąg Wieczystych Sądu Grodzkiego w Warszawie, był od 21 lutego 1927 r. mój dziadek Stanisław Kucharski. Przez ponad 12 lat, do wybuchu II wojny światowej, babcia nie podejmowała starań o przeniesienie na siebie tytułu własności gruntu. Nie myślała o tym, że kiedykolwiek będzie w sytuacji umożliwiającej postawienie na działce domu

jednorodzinne. Mimo że w chwili śmierci dziadka Stanisława nie była – także na ówczesne czasy – osobą starą, miała trzydzieści kilka lat, nigdy – jak mi powiedziała pod koniec życia – przez myśl jej nie przeszło, aby ponownie wyjść za mąż. Wieś Koło została później włączona do granic administracyjnych Warszawy. Na tym terenie, na którym położona jest działka dziadka, stworzono park. Rodzice po wojnie przeprowadzili się na Dolny Śląsk, a potem do Łomży i w końcu do Łodzi. Tam, 7 października 1979 r., w wieku 66 lat, zmarł ojciec. Matka zamieniła czteropokojowe mieszkanie w Łodzi na garsonierę na Woli. Formalną zgodę na zameldowanie w dwudziestoosmiometrowym mieszkaniu na Woli uzyskała od władz administracyjnych Urzędu Dzielnicowego Warszawa-Wola 27 maja 1983 r. (WSA.IV.6214/722/83). Było to niemal po czterech latach zamieszkiwania w Warszawie. W tamtych czasach obowiązywało rozporządzenie Rady Ministrów z 30 grudnia 1974 r. w sprawie ograniczenia pobytu stałego osób zamierzających na terenie m.st. Warszawy⁵. Aż dziw bierze, że władze administracyjne wyraziły zgodę na zameldowanie osoby niepracującej. Tłumaczyć to można tylko tym, że ówczesne przepisy wydane przez socjalistyczną władzę, ustanawiające obowiązek pracy po to, aby przeciwdziałać tzw. „pasożytnictwu społecznemu” nie dotyczyły kobiet. Wprowadzone w latach 60. zostały niebawem uchylone. Matka do dnia swojej śmierci, tj. 8 czerwca 1991 r., mieszkała w odległości dwóch przystanków tramwajowych od pętli na Kole. Żyła 68 lat. Ani ona sama wtedy, ani wcześniej, jeszcze za życia ojca, rodzice nie podjęli starań o uzyskanie odszkodowania za wywłaszczoną działkę. Z powodu braku regulacji prawnych dotyczących warszawskich nieruchomości znacjonalizowanych „sławetnym” dekretem Bieruta nie było to możliwe. Babcia nigdy do Warszawy nie wróciła. Co roku jeździła na cmentarz wolski, na którym został pochowany w grobie rodziny Świątkowskich dziadek, gdzie też spoczęła później ona sama, a następnie moi rodzice w latach 70. i 90. ubiegłego wieku.

Rodzina

Mój ojciec urodził się 21 czerwca 1913 r. w Warszawie, na Pradze. Według odpisu aktu urodzenia (nr 2233) wystawionego przez rzymskokatolicką parafię św. Michała i św. Floriana w Warszawie przy ul. Floriańskiej 3, gdzie został ochrzczony w 1913 r., jego ojcem był Józef Wacław Świątkowski, a matką Kamila Jarosiewicz. Natomiast we wspomnianym wcześniej świadectwie ślubu podane zostało tylko jedno imię Wacław, wymienione jako drugie imię w odpisie świadectwa

⁵ Dz.U. 1975, nr 1, poz. 4.

urodzenia. Nie wiem, czy dziadek Świątkowski ze strony ojca nie używał pierwszego imienia Józef, bo na co dzień posługiwał się imieniem Wacław. Babcia Kamila, matka ojca, mieszkała wraz ze starszym bratem lub ojcem Wincentym Jarosiewiczem w miejscowości Łapy, położonej pod Białymstokiem. Nazywałem go „dziadkiem”. Rodzice co roku jeździli na wakacje do Łap. Pamiętam „dziadka” Wincentego i babcię Kamilę. O ojcu mojego ojca, a więc prawdziwym dziadku Wacławie, nie mam żadnych informacji. Mieszkali na przedmieściu w bliskiej odległości od kościoła w niewielkim, składającym się z kilku pomieszczeń, drewnianym domu z gankiem, na którym wszyscy siadali, z widokiem na mały sad. Dom nie był podpiwniczony. Obok wykopana została ziemianka, w której utrzymywał się także w upalne dni miły chłód. Babcia przechowywała w niej żywność. Do dziś widzę mur ziemianki, drewniane drzwi, solidną kłódkę i potężny skobel na drzwiach prowadzących po drewnianych schodkach pod ziemię. Zdziwiła mnie konstrukcja ziemianki usypanej w charakterze kopca gęsto pokrytego trawą. Na „Ziemiach Odzyskanych”, gdzie mieszkałem przez 16 lat po wojnie, nie było takich budowli. Ziemianka kształtem przypominała kurhan, w którym plemiona słowiańskie w przeszłości chowały zmarłych. Ponad 70 lat temu stosunki dzieci i rodziców były bardziej oficjalne aniżeli współcześnie. Moi rodzice nie byli zbyt wylewni. Nie mieli bogatego życia towarzyskiego. Rzadko zapraszałem kolegów ze szkoły do domu, mimo iż miałem bardzo dobre warunki mieszkaniowe. W Lubaniu, mieście powiatowym, gdzie chodziłem do szkoły podstawowej i średniej, mieszkałem blisko szkoły w willi należącej do przedsiębiorstwa bawełnianego, w którym pracował mój ojciec. Nasz dom nie był otwarty dla znajomych. Niestety, jak zapewne słusznie uważa moja żona Marcela, ten nawyk z dzieciństwa, wyniesiony z domu rodzinnego pozostał mi do dziś. Nie mam zbyt wielu przyjaciół. Ponadto doświadczenia wojenne oraz trudne czasy, w jakich żyliśmy po wojnie, sprawiły, że ludzie nawet w rodzinie nie rozmawiali o przeszłości. Byli szczęśliwi, że przeżyli. Ludzie mieszkający na Dolnym Śląsku mieli świadomość niepewności swojego położenia. Mimo że o tym się nie mówiło, nieuregulowany status prawny tej części Polski sprawiał, że dużo spraw miało charakter prowizoryczny. Po ponad pół wieku pojechałem w październiku 2015 r. po raz pierwszy do szkoły, którą ukończyłem, na jubileusz 70-lecia Liceum Ogólnokształcącego im. Adama Mickiewicza w Lubaniu. Po latach największe wrażenie zrobił na mnie fakt, że w tym stosunkowo małym mieście (obecnie około 25 tysięcy mieszkańców, w latach 60. miało ono 10 tysięcy mniej) ciągle funkcjonuje w tym samym miejscu w niezmienionym stanie kino „Wawel”. W czasach, kiedy tam mieszkałem wraz z rodzicami i bratem, miasto nosiło nazwę Lubań Śląski. Do tego kina chodziłem na każdy nowy seans filmowy. Podczas pobytu w Lubaniu w 2015 r. starałem się odnaleźć grób babci Kamili. Od kierowniczkę cmentarza komunalnego, córki Zbigniewa Wachowskiego, kolegi ojca z pracy, w latach 60. dyrektora handlowego Lubańskich Zakładów

Przemysłu Bawełnianego, który po wyjeździe w latach 70. wykupił piętro willej przy ul. Świerczewskiego 4 (obecnie Armii Krajowej), w której mieszkaliśmy, dowiedziałem się, że babcia Kamila zmarła 12 stycznia 1959 r. Prawo rodziny do jej grobu wygasło w 2009 r. Nie można było opłacić grobu na następne 50 lat, ponieważ w 2012 r. w grobie babci została pochowana inna osoba.

Po śmierci „dziadka” Wincentego moi rodzice sprowadzili w latach 50. babcię Kamilę na Dolny Śląsk. Tak więc oprócz matki opiekowały się mną i moim bratem obie babcie. Wynikały z tego pewne doraźne korzyści. Nie musiałem wykonywać, podobnie jak ojciec, żadnych prac domowych. Po przeniesieniu się na studia do Krakowa wysyłałem do domu brudną bieliznę do prania. Nie byłem przyuczony do wykonywania tego typu czynności. Nie potrafiłem również gotować. Marcela, moja sympatia, później narzeczona, a w końcu żona, podjęła jeszcze przed ślubem energiczne starania, aby przyuczyć mnie w minimalnym zakresie do wykonywania podstawowych czynności związanych z prowadzeniem gospodarstwa domowego. Przydało mi się to bardzo, kiedy wyjechałem na studia do Nowego Jorku. Prania, prasowania, ale nie gotowania, nauczyła mnie życiowa konieczność oszczędzania na wydatkach ze skromnego stypendium. Nauczyłem się również jadać produkty z puszek, zupę Campbell, uświetnioną przez Andy’ego Warhola, małe parówki (frankfurterki) z makaronem, ravioli i inne. Nie byłem jednak w stanie wykorzystać wiedzy kucharskiej zapisanej w książeczce *Kuchnia dla samotnych i zakochanych*, podarowanej mi przez żonę przed wyjazdem na stypendium.

Poza wspomnianymi wyżej osobami, moimi rodzicami i dziadkami, pamiętam z rodziny, z którą moi rodzice i ja utrzymywaliśmy kontakty, niedawno zmarłego Edwarda „Edzia” Świątkowskiego, jego żonę Monikę oraz ich dwoje dzieci Ewę i Piotra, zwanego „Piotrkiem”. Piotrek Świątkowski, który na stałe mieszka w Oslo, poprosił swojego znajomego, który interesuje się rodowodami, aby przysłał mi informacje na temat rodziny Świątkowskich. Z fragmentów tych informacji wynika, że jeden z moich przodków, Leopold Świątkowski, ożeniony z Marią Wieniarską, mieszkał w 1905 r. w Kazaniu, a w 1922 r. znalazł się na Syberii. Z tego małżeństwa urodziło się trzech synów Władysław, Jan, Tadeusz i córka Janina. Tadeusz, który w 1937 r. w wieku 37 lat tragicznie zginął w katastrofie kolejowej, ożenił się ze Stanisławą Piotrowską, ciotką „Stachą”. Tadeusz i Stanisława mieszkali w Warszawie na Pradze. Mój ojciec również mieszkał na Pradze. Dopiero po zawarciu z moją matką związku małżeńskiego przeniósł się na Wolę. Nie jestem w stanie ustalić, kim dla ojca była ciotka „Stacha”. Utrzymywała ona z naszą rodziną bliskie więzi. Podczas pobytów w Warszawie odwiedzaliśmy ją w mieszkaniu na ulicy Nieporęckiej. Ta część Pragi była niesłychanie folklorystyczna. Włóczyły się tam typy jakby żywcem wyjęte z opowiadań Stefana Wiecha oraz powieści Stanisława Grzeszczuka *Boso, ale w ostrogach*. W pobliżu znajdował się słynny Bazar Różyckiego. Było tam dość niebezpiecznie.

Ciotka „Stacha” była przeciwna moim pomysłom wracania po zmroku z eskapad, które miały na celu zwiedzanie Warszawy. Z małżeństwa Tadeusza z ciotką „Stachą” urodziło się dwóch synów: Stefan, zwany „Leszkiem”, oraz Edward („Edzio”). Podobnie jak babcia Kazimiera, która całe życie wspominała przedwcześnie zmarłego męża „Stacha”, ciotka „Stacha” również wspominała starszego syna „Leszka”, który zginął w 1944 r. w Powstaniu Warszawskim. „Leszek” był zbójmistrzem Armii Krajowej. Zginął w wyniku eksplozji materiałów wybuchowych w magazynie broni i prochu strzelniczego. Edward, który jako kilkunastoletni chłopak również działał w tym magazynie, tragicznego dnia był chory. Śmierć starszego brata nie zniechęciła go do majstrowania przy broni palnej. Podobnie jak „Leszek”, był utalentowanym mechanikiem. Stale coś dłubał przy pistoletach i granatach. Od jego pasji i umiejętności pochodzi jego akowski pseudonim „Błaszka”. Po wojnie interesował się motocyklami. Wyremontował nawet starego Citroena DS, takiego samego, jakiego w Warszawie używało gestapo. Miał dosyć ekstrawaganckie upodobania. Ubierał się i czesał jak „bikiniarz” – „w wąskie spodnie niby gacie, tłusta plama na krawacie”, buty na „słonie”, kolorowe skarpetki, wywatowana marynara, fryzura zaczesana w „kaczy kuper”. Władze państwowe oraz ówczesna prasa były krytycznie nastawione do „bikiniarzy” prowadzących swobodny (rozrywkowy) styl życia, kontestacyjny wobec nowej rzeczywistości. Korzystanie z dorożek konnych, częste pobyty w restauracjach i na dancingsach można było jeszcze tłumaczyć odreagowywaniem niedawnej traumy wojny i okupacji. Jednakże „Edzio” kochał kino amerykańskie tak bardzo, że chodził na pokazy filmowe do ambasady USA w Warszawie. Jak część młodzieży akowskiej, która nie walczyła z bronią w ręku z Niemcami na barykadach, tylko wykonywała użyteczne, chociaż uznawane powszechnie za pomocnicze, czynności konspiracyjne, czuł się niedowartościowany. Edward – rocznik 1931 miał w czasie wybuchu powstania 13 lat. Po odbyciu kary przymusowej pracy, na którą został skazany z początkiem lat 50., „Edzio” przyjechał do naszej rodziny na Dolny Śląsk. Mieszkaliśmy wówczas w Głuszycy, miejscowości położonej w Kotlinie Kłodzkiej. Ojciec pracował w 1951 r. jako dyrektor techniczny w Głuszyckich Zakładach Przemysłu Bawełnianego. Mieliśmy rewelacyjne warunki mieszkaniowe. Zajmowaliśmy pierwsze piętro w dużej, wielopokojowej, bardzo wygodnej, umeblowanej poniemieckiej willi położonej w parku. Na Dolnym Śląsku schronienia przed władzą szukało wiele osób. Edward, jako bliski krewny dyrektora największego w okolicy zakładu przemysłowego, został zameldowany i nikt nigdy o niego nie wypytywał dlaczego przyjechał do rodziny i co zamierza robić. Odzyskiwał zdrowie po niewolniczej pracy pod ziemią. Nie zapomnę zdjęcia, jakie ktoś zrobił Edziowi w przerwie w pracy w kopalni. W całkowitej ciemności widać jedynie żarzące się oczy. Twarz, dłonie, reszta ciała i ubranie robocze są czarne od węgla. Po niemal rocznym pobycie z nami wrócił do Warszawy. Był zatrudniony jako pracownik techniczny,

specjalista od dźwięku w ośrodku telewizyjnym w Warszawie. Krytycznie nastawiony do ówczesnej władzy, prowadził spory z jej przedstawicielami. Pamiętam, kiedy na lotnisku w Warszawie celnicy skonfiskowali mi w latach 70. najprostszy aparat nadawczo-odbiorczy krótkiego zasięgu (*walkie-talkie*), który przywiozłem Edziowi jako prezent ze Stanów Zjednoczonych. Edward po uzyskaniu oświadczeń z miejsca pracy, że powyższe urządzenie jest mu niezbędne do wykonywania pracy zarobkowej, polegającej na instalowaniu anten telewizyjnych, podjął intensywne starania, aby przydatny instrument odzyskać. Nie udało mu się. Władze uznały, że aparat może być wykorzystany w innych celach, kolidujących z ochroną porządku publicznego. W czasie pierwszej „Solidarności” Edward był mocno zaangażowany w ruch związkowo-polityczny. Miał pecha, ponieważ został rozpoznany przez nagrywających akcję protestacyjną jako współpracownik ekipy telewizji japońskiej, w której był dorywczo zatrudniony jako dźwiękowiec w czasie słynnej blokady ronda w centrum Warszawy. Zwolniono go z pracy. Po wprowadzeniu stanu wojennego został internowany. Siedział w Białoleścu. Z dumą wspominał, że przebywał w jednej celi z profesorem Bronisławem Geremkiem. Kiedy mu podał nazwisko, Geremek zapytał, czy ktoś z jego rodziny mieszka w Krakowie. Edward z dumą mi mówił o pozytywnej reakcji na twierdzącą odpowiedź na postawione pytanie. Po zwolnieniu z ośrodka internowania Edward przyjechał wieczorem do Krakowa z formularzami dokumentów, jakie zamierzał złożyć następnego dnia w konsulacie Republiki Francuskiej w związku z „propozycją” złożoną przez przedstawicieli instytucji pełniącej w PRL funkcję policji politycznej wydającej dokument podróży w jedną stronę. Miał wówczas ponad 50 lat. Nie znał języka francuskiego. Nie mógł więc samodzielnie wypełnić dokumentów umożliwiających wjazd i pobyt we Francji. Miał natomiast zaufanie do mnie i mojej żony. W nocy przedyskutowaliśmy argumenty „za” i „przeciw” wyjazdowi na stałe z Polski i przekonaliśmy go, aby pozostał. Podjął pracę w zakładzie zajmującym się naprawą telewizorów, a ponieważ był dobrym specjalistą, uruchomił własną działalność gospodarczą w tej branży. Po latach dziękował nam za racjonalne przedstawienie „cieni” i „blaszków” życia na emigracji. Edward nie znał życia na Zachodzie. Powracający z politycznej emigracji koledzy warszawscy, którym się nie powiodło, uświadomili mu, czego uniknął. Był człowiekiem, który – podobnie jak mój ojciec po zakończeniu II wojny światowej oraz ja sam czterdzieści lat temu – z własnej woli nie zdecydował się na pozostanie na Zachodzie. Są ludzie, którzy ze względu na pewien rodzaj patriotyzmu nie mogą normalnie żyć poza krajem urodzenia. Takim przykładem był Edward, który uosabiał wszystkie, pozytywne i negatywne cechy Polaka. Narzekał i krytykował, ale nie był w stanie żyć w innych, nawet lepszych warunkach. Edward był „klasycznym warszawiakiem”, ze wszystkimi zaletami i przywarami opisanymi w literaturze. Zadziorny, wybuchowy, zaradny, przedsiębiorczy, odporny na niedogodności i surrealistyczne wymagania

biurokracji. Miał swoją godność i poczucie wartości. Miałby pewnie kłopoty z pokonaniem podstawowych trudności związanych z nauką języka obcego oraz zaakceptowaniem obiektywnych ograniczeń, które udaje się pokonać wyłącznie nielicznym, znacznie młodszym imigrantom. Trudno byłoby mu się pogodzić ze statusem obywatela „drugiej kategorii”. W Polsce, nawet podczas internowania w Białoleścu, słuszenie uznawał swoją rację moralną nad racjami tych, którzy go tam umieścili i pilnowali. Oczywiście, w okresie, o którym piszę, ludzie nie stykali się już z taką brutalną reakcją organów bezpieczeństwa i sił porządkowych, jak to miało miejsce bezpośrednio po zakończeniu II wojny światowej. W naszej rodzinie, podobnie jak w rodzinie mojej żony, ciągle wspominano bliskich, którzy nie mieli wyboru. Zostali na Zachodzie i nigdy z obawy o swoje życie do Polski nie powrócili. Tak było w przypadku wujka Darka, syna siostry babci Kazimiery, ciotki Mogińskiej, z domu Pytel. Walczył w Powstaniu Warszawskim. Wywieziony do ołagru w Niemczech, oswobodzony przez Anglików, wyjechał do Wielkiej Brytanii. Wkrótce potem postanowił wrócić do Warszawy. Został wezwany do Urzędu Bezpieczeństwa. Tam był przesłuchiwany i bity. Po tym, kiedy śledczy złamał mu nos, Darek wyjechał do Gdańska. „Zorganizował” sobie kuter motorowy i uciekł do Szwecji. Zamieszkał w Malmö. Nigdy do Polski nie wrócił. Podjął zatrudnienie w firmie specjalizującej się w wydobywaniu z dna Bałtyku przedmiotów zatopionych w czasie działań wojennych. Utrzymywał przez pewien czas kontakt listowy z moimi rodzicami.

Moje informacje o dalszej rodzinie matki i ojca są nader skąpe. Z nielicznych zachowanych zdjęć, jakie zostawiła mi matka, można wywnioskować, że krewni rodziny ojca – Świątkowscy wywodzili się ze wschodnich kresów przedwojennej Polski. Na najstarszym zachowanym zdjęciu rodzinnym zrobionym w Łudzie w atelier K. Norkucza, ul. Porowska 54 (w oryginale wszystkie napisy w języku rosyjskim), uwidocznione zostały cztery osoby. Mężczyzna i kobieta siedzą, a obok nich chłopak w wieku około 10 lat oraz o 6–8 lat starsza od niego dziewczyna. Niewątpliwie jest to rodzina ze strony ojca. Wąsaty mężczyzna ubrany w białą koszulę ze stojącym kołnierzykiem, jasny krawat, ciemny trzyczęściowy garnitur (marynarka, kamizelka i spodnie), bryczesy oraz buty z cholewami siedzi w charakterystycznej pozie z dłońmi zgiętymi, duży palec lewej ręki wyprostowany i wpatruje się bezpośrednio w aparat. W identycznej pozycji oraz w podobnym garniturze, w bryczesach i w butach z cholewami, sfotografowany został później dziadek Wincenty Jarosiewicz na tle choinki odświętnej ubranej z okazji Świąt Bożego Narodzenia. Chłopak, stojący w wyprostowanej postawie, po prawej stronie ojca rodziny jest ostrzyżony jak rekrut i nosi bluzę wojskową zapinaną na modę rosyjską z lewej strony, podobnie jak zapinana była koszula „rubaszka”. Wygląda na kadeta szkoły wojskowej. Dziewczyna to babcia Kamila. Na ostatnim zachowanym z Powstania Warszawskiego zdjęciu legitymacyjnym przedstawiony jest młody oficer w czapce i płaszczu wojskowym, jaki noszono

przed rewolucją październikową. Niewątpliwie są to zdjęcia Polaków mieszkających na terenach dawnej Polski, będących pod zaborem rosyjskim. Zachowało się też zdjęcie dwóch kobiet, jednej niższej, drugiej nieco wyższej, ubranych na czarno, w towarzystwie mężczyzny, mojego ojca oraz dwóch chłopców. Jednego w wieku przedszkolnym, drugiego licealisty. Na odwrocie zdjęcia wbito pieczętkę, że zdjęcie wykonano 31 maja 1939 r. Ojciec jest ubrany w elegancki garnitur. Zdziwiłem się bardzo, ponieważ ma na zdjęciu bujne, blond włosy. Ja od zawsze pamiętałem, że był łysy. Na innym, policyjnym zdjęciu, wykonanym w pięć lat później po aresztowaniu i zesłaniu go do obozu koncentracyjnego w Mauthausen-Gusen, ojciec jest całkiem łysy. Ostatnie zdjęcie, jakie mam w archiwum rodzinnym, przedstawia dwie kobiety w czarnych welonach, stojące na tle papierowej dekoracji wieży znajdującej się w ogrodzie różanym. Na szczycie wieży zatknięta jest polska flaga. Na odwrocie zdjęcia figuruje napis „CARTE Correspondance”. Nikt z moich rodziców nie wspominał o wyjeździe i pobycie żeńskiej części rodziny we Francji. Wspominała natomiast o tym ciotka „Stacha”. Opisane zdjęcia świadczą o pochodzeniu rodziny ojca z polskich kresów, a nawet Rosji. Tadeusz Świątkowski, urodzony w 1900 r., który zginął w katastrofie kolejowej 37 lat później, ożeniony ze Stanisławą (ciotką „Stachą”) z domu Piotrowską, jest pierwszym pokoleniem Świątkowskich urodzonych w Warszawie. W archiwum rodzinnym zachowało się zdjęcie bardzo eleganckiego mężczyzny w średnim wieku. Edward Świątkowski jest jego kopią. Niewątpliwie zdjęcie przedstawia Tadeusza Świątkowskiego, tragicznie zmarłego krótko przed II wojną światową, męża ciotki „Stachy” i ojca „Edzia”.